PG
7158
A9
1916
t.3

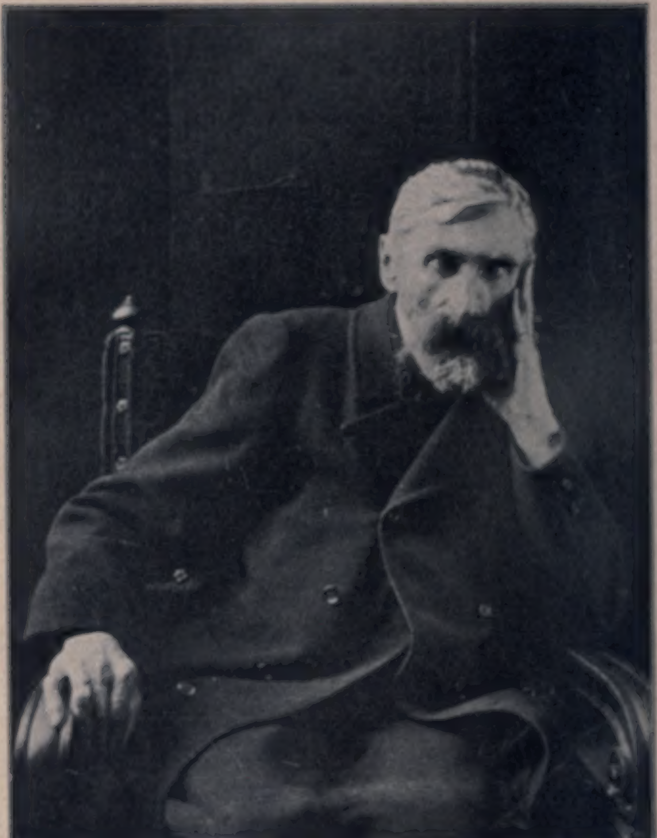

Adam Asnyk

Według fotografii prof. Franciszka Bylickiego z r. 1896.

PISMA.

ADAM ASNYK

(EL...Y).

PISMA

WYDANIE ZUPEŁNE.

W UKŁADZIE I Z OBJAŚNIENIAMI

F. HOESICKA I W. PROKESCHA.

POPRZEDZONE ŻYCIORYSEM I CHARAKTERYSTYKĄ POETY
Z KILKOMA PORTRETAMI.

TOM III.

WARSZAWA 1916.
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA.

PG
7158
A9
1916
t. 3

LIBRARY
MAY 1 1968
UNIVERSITY OF TORONTO

Czcionkami drukarni Literackiej w Krakowie,
pod zarządem L. K. Górskiego.

I.

SONETY.

Pierwsze uczucia, to kwiaty wiosenne!
Co się swą własną upajają wonią:
Przed żywszym blaskiem jeszcze w cień się chronią
I wierzą jeszcze w swe trwanie niezmienne.

Po nich, ach! inne stubarwne, płomienne,
Znów zakwitają i za słońcem gonią:
Wiedzą, że zwiędną, więc czasu nie trwonią
I gaszą tylko pragnienia codzienne.

A później znowu wspomnień astry blade
Wschodzą samotne na schyłku jesieni,
I chcą trwać tylko, i walczą z ulewą,

Widząc w około martwość i zagładę,
A w końcu jeden cyprys się zieleni,
Ponure, smutne rezygnacyi drzewo.

1869.

Jednego serca! tak mało, tak mało,[1])
Jednego serca trzeba mi na ziemi!
Coby przy mojem miłością zadrżało,
A byłbym cichym pomiędzy cichemi.

Jednych ust trzeba! skądbym wieczność całą
Pił napój szczęścia ustami mojemi,
I oczu dwoje, gdziebym patrzał śmiało,
Widząc się świętym pomiędzy świętemi.

Jednego serca i rąk białych dwoje!
Coby mi oczy zasłoniły moje,
Bym zasnął słodko, marząc o aniele,

Który mnie niesie w objęciach do nieba;
Jednego serca! tak mało mi trzeba,
A jednak widzę, że żądam za wiele!

[1]) O Anieli Grudzińskiej

Kiedym cię żegnał, usta me milczały [1])
I nie wiedziałem jakie słowo rzucić,
Więc wszystkie słowa przy mnie pozostały,
A serce zbiegło i nie chce powrócić.

Tyś powitała znów swój domek biały,
Gdzie ci słowiki będą z wiosną nucić,
A mnie przedziela świat nieszczęścia cały,
Dom mój daleko i nie mogę wrócić.

Tak mi boleśnie, żem odszedł bez echa,
A jednak lepiej, że żadnem wspomnieniem
Twych jasnych marzeń spokoju nie skłócę,

Bo tobie jutrznia życia się uśmiecha,
A ja z gasnącym żegnam cię promieniem
I w ciemność idę i już nie powrócę.

1870.

---

[1]) Dla Anieli Grudzińskiej.

Po co się budzą pragnienia szalone,
Gdy ich nie można ugasić napojem?
Po co się serce wyrywa stęsknione
Do burzy, gardząc ciszą i spokojem?

Po co chce zedrzeć przyszłości zasłonę,
I nieskończoność zmieścić w łonie swojem?
Kiedy zaledwie dotknie się spragnione,
Usycha w żalu nad zmąconym zdrojem...

Próżne zabiegi! Wieczyste pragnienia!
Zwodnicze widma! Któż was nie wyklina?
A jednak mimo klątw i złorzeczenia,

Każdy na nowo wraca i zaczyna
Szukać tej mary, co świat opromienia,
I o dawniejszych klęskach zapomina.

1870

Zejdź jasna jutrznio! rozlej światła strumień
Po ziemi życia nowego spragnionej,
Złotym promieniem do dna ludzkich sumień
Sięgnij i blask im nadaj nieskażony;

Rozedrzyj mroczne przyszłości zasłony
I wstydem czoła wątpiących zarumień,
I oczom chciwym zachwytów i zdumień,
Ukaż odrodzeń szereg nieskończony.

Zejdź jasna jutrznio! Świat przeczuciem tknięty,
Z lochów, gdzie nędza z zbrodnią mieszka skrycie,
Z gmachów, gdzie orgia dopija swe męty,

Wygląda ciebie w troskach czy przesycie,
I woła dziwną tęsknotą przejęty,
O świeże, lepsze, szlachetniejsze życie.

Czego ci trzeba dziś, posępny tłumie,
By piersi twoje napełnić otuchą?
Czego ci trzeba w kamiennej zadumie,
By łzy przywołać na źrenicę suchą?

Anielskie chóry, których twoje ucho
Dosłuchiwało niegdyś w pieśni szumie,
Te dziś przebrzmiały martwo, sennie, głucho...
I serce twoje chwytać ich nie umie.

Tyś łzy zatracił, myśląc, że cię lepiej
Osłaniać będzie chłód twój i rozwaga,
Gdy świat ten z złudzeń rozbierzesz do naga

I myśl się w prochu, jak robak, zasklepi,
A oto zawsze niedola cię smaga,
Tylko cię żadna łza już nie pokrzepi!...

STOKROTKI.

I.

Jakże żałuję tej szczęśliwej pory,
Kiedy stokrotki, kwiatek pospolity,
Zdał mi się w cudne ubranym kolory,
I budził w sercu dziecinne zachwyty,

I kiedy długie majowe wieczory
Spędzałem, patrząc w jasnych ócz błękity:
Cichego szczęścia pełen i pokory,
Bijący sercem a nigdy nie syty.

A choć to było kwiecie takie skromne,
Nigdym się z prawdą marzeń nie rachował,
Bom miał rozkoszą serce nieprzytomne;

I kiedym usta różane całował,
Tom nic nie pragnął i nic nie żałował,
I dziś drżę jeszcze, gdy tę chwilę wspomnę...

II.

Później, ach, wiele kwiatów egzotycznych
Widziałem pełnych piękności i woni.
Dużo heroin znałem poetycznych,
Niosących uśmiech, łzy i serce w dłoni...

A przecież żaden z tych kwiatów rozlicznych.
Wspomnieniem szczęścia mnie teraz nie goni
I z tych postaci wzniosłych, eterycznych,
Od melancholii żadna mnie nie broni!

Bom się nie spotkał już z tem upojeniem,
Co jedno drogę do szczęścia otwiera,
Bez względu czy jest prawdą, czy złudzeniem.

Bez niego serce powoli zamiera,
I z ideałów blade maski zdziera,
I żegna zwiędłe stokrotki westchnieniem...

1869.

NIEZRĘCZNY.

I.

Gdy ją raz pierwszy ujrzał w kobiet gronie,
Uczuł w swej duszy jakby światło nowe:
Zdawało mu się, że widmo tęczowe
Młodzieńczych marzeń podaje mu dłonie.

I zapatrzony w oczy szafirowe
Zaledwie zdołał skłonić przed nią głowę
Przy przedstawieniu, i wiedząc, że płonie,
Onieśmielony stał jak żak w salonie.

Ona spostrzegłszy to jego zmięszanie
Chciała przyjść w pomoc i pierwsza z uśmiechem
Zadała jakieś zwyczajne pytanie.

By odpowiedzieć, zwrócił się z pośpiechem,
Lecz się w jej sukni zaplątał jedwabnej
I urwał kawał falbany, niezgrabny!

II.

Trudno uwierzyć! lecz taka przygoda
Zamiast mu szkodzić u pięknej kobiety,
Pomogła raczej, i nastała zgoda
Pomiędzy sercem wdówki i poety;

I widywała się ta para młoda;
On jej przynosił do domu bukiety,
I wzdychał ciągle, na co czasu szkoda,
I co go wreszcie zgubiło, niestety!

Siedział sam przy niej, źrenicą spragnioną
Tonął w jej oczach w niemem zachwyceniu;
Na twarz im padał srebrny blask miesięczny,

Więc ją mógł widzieć drżącą i wzruszoną;
Ale w tem samem został oddaleniu,
Gdyż bał się suknię nadeptać, niezręczny!

1869

DWIE FAZY.

I.

Kiedy myśl wielka nagle zajaśnieje
I porwie z sobą mętną ludzi falę,
Burzliwym prądem niosąc ją przez dzieje
Ku szczęściu, prawdzie, zwycięstwu i chwale,

Wtenczas pierś każda ludzka olbrzymieje,
I ponad trwogi powszednie i żale,
Każdy jak Tytan wyrasta zuchwale,
Po nieśmiertelną sięgając nadzieję.

Wtedy z owego tajnego ogniska,
Na świat ożywcze spływają promienie,
Życie, co siłą i młodością tryska,

Zyskuje na swej wartości i cenie,
A i śmierć sama pięknością połyska,
Jak godne męskiej pracy zakończenie.

II.

Lecz gdy zagaśnie blask promiennej zorzy,
Gdy myśl ożywcza sercami nie włada,
Zaraz duch ludzki waha się i trwoży,
I nikczemnieje znowu i upada;

Wówczas strach tylko pędzi ludzkie stada,
W których zepsucie i rozpacz się mnoży...
I rzesza ludów przerażeniem blada,
Błądzi bez celu wśród ciemnych rozdroży.

Wówczas świat dziwnie zmieniony i stary,
Samą goryczą swoim dzieciom płaci;
Życie bez pragnień, bez natchnień, bez wiary,

Cały swój urok, całą jasność traci;
A śmierć w ohydnej zjawia się postaci,
Jak straszne widmo nicości i kary!

HERAKLES.

I.

Greckie go mity Heraklesem zwały,
Chociaż właściwie ludem się nazywa;
Na wieczną pracę nieba go skazały,
Więc jego ramię nigdy nie spoczywa.

Jest pracowity, silny i wytrwały,
Lwia skóra nagie barki mu pokrywa,
Lecz wobec pana swojego nieśmiały,
Łańcuchów swoich sam kuje ogniwa,

I spełnia wszystkie najcięższe zlecenia.
Kiedy podniesie maczugę, to straszny!
A jednak stąpa cicho, najzwyczajniej,

Pełen zaparcia i upokorzenia;
Śmieją się z niego, że jest za rubaszny,
Kiedy go widzą w augiaszowej stajni.

II.

Dziewicza Muza nieraz wstydem spłonie,
Widząc, jak grubej oddany swawoli,
Pijaną orgią gasi ogień w łonie,
Pragnąc zapomnieć o tem, co go boli;

Lub gdy rozżarty nadmiarem niedoli
Chwyta w szaleństwie za trujące bronie,
I na świat biegnie w niszczyciela roli,
I krwią niewinnych plami swoje dłonie!

Jednak pomimo tych wybuchów szału,
Przez które w niwecz idzie wieków praca,
I wielkich czynów szereg się zaciera,

Z obłędu swego budząc się pomału,
Kornie na dawne stanowisko wraca,
I spełnia dalej dzieło bohatera.

III.

On bohaterstwo swoje mało ceni,
I nie wie jeszcze, czem jest i czem będzie,
Nie wie, że cało wyszedłszy z płomieni,
Miejsce dla siebie wśród bogów zdobędzie;

Lecz wiedzą o tem bogowie strapieni,
Co w nim mieć chcieli posłuszne narzędzie,
Więc cały Olimp z wściekłości się pieni
I prześladuje go zawsze i wszędzie.

Jeszcze w kolebce posyłał mu gady,
Aby go zgniotły w duszącym uścisku,
I wciąż tysiącem olbrzymów nań godzi.

Bezsilne gniewy, zasadzki i zdrady!
Będzie zwycięzcą... i przy gromów błysku
Prometeusza z więzów wyswobodzi!

MORSKIE OKO.

I.

Ponad płaszczami borów, ściśnięte zaporą
Ścian olbrzymich, co w koło ze sobą się zwarły,
Ciemne wody rozlewa posępne jezioro
Odzwierciedlając w łonie głazów świat zamarły.

Stoczone z szczytów bryły, mchu pokryte korą,
Po brzegach rumowisko swoje rozpostarły;
Na niem pogięte, krzywe, kosodrzewu karły
Gdzieniegdzie nagą pustkę w wianki swe ubiorą.

Granitowe opoki wyniesione w chmury
Rzadko tam żywsze blaski słoneczne dopuszczą...
I tajemnicze głębie kryje cień ponury.

Cisza: tylko w oddali gdzieś potoki pluszczą,
Lub wichry, przelatując nad zmartwiałą puszczą,
Swym świstem grozę dzikiej powiększą natury.

II.

Tu myśl twórcza straszliwą pięknością wykwita:
Pięknością niezmierzonej potęgi i siły,
Co gromami na skałach rozdartych wyryta
Świadczy dziś o przewrotach w łonie ziemskiej bryły.

Dziki zamęt! Głazami zasłane koryta
Zdają się placem boju, gdzie niegdyś walczyły
Północne groźne bogi i krew ofiar piły
Z czary, która w jezioro upadła, rozbita.

Wszystko tu do ostrego tonu się nagina:
Poszarpane gór grzbiety, wody co czernieją,
Skały, wiszące śniegi, zarośla, mgła sina...

Wszędzie surowa wielkość, przed którą maleją
Sny człowieka, co staje, jak mała dziecina,
Przed skamieniałą dawnych bogów epopeją!

III.

Słońce, gdy na zachodzie złotą tarczę skłoni,
Purpurą zdobi jeszcze skał korony wierzchnie,
Tysiąc tęczowych świateł po szczytach się goni,
Tu zsinieje... tam ogniem zaświeci... znów
[zmierzchnie.

A w dole na jeziora zamąconej toni,
Odbity blask zakrwawia drżących wód powierzchnię,
Póki skrwawionej fali płaszcz mgły nie osłoni,
I ostatni rumieniec wieczoru nie pierzchnie.

Wszystko zgasło... świat cały napełniony mrokiem...
Granitowe olbrzymy majaczeją w dali:
Rosną w bezmiar i kształty zmieniają przed okiem...,

Mgła pokryła przepaści szarym swym obłokiem
I jezioro zniknęło... lecz słychać szum fali,
I z gór lecący potok wymowniej się żali...

IV.

Noc króluje: na głowę kładzie gwiazd dyadem;
Przez błękity przesiąka niepewna i drżąca
Jasność jeszcze skrytego dla oczu miesiąca;
Mgły ulatują w górę śnieżnych chmurek stadem.

Wszystko topnieje w świetle niebieskiem i bladem
I ciemność nad otchłanią chwieje się wisząca.
Księżyc przez skał szczelinę wstał nad wodospadem,
Srebro leje i w przepaść wraz z falami strąca.

Zwolna cała kotlina z śpiących wód topielą
Wynurza się, jak obraz czarodziejskiej księgi...
Wybrzeża przeraźliwym odblaskiem się bielą,

Jakby pokryte zmarłych śmiertelną pościelą;
Czarne wody w płomienne rysują się pręgi,
Przypominając piekieł dantejskie okręgi.

V.

O wielki poemacie natury! któż może
Iść w ślad za twych piękności natchnieniem wie-
[czystem?
Kto uchwyci poranku wzlatującą zorzę
I zapali rumieńce na niebie gwiaździstem?

Kto wyrzeźbi kamienne wodospadu łoże?
Przemówi szumem fali, wichru dzikim świstem?
Srebrne chmurki zawiesi w szafirów przestworze
I odbije skał ostrza w wód zwierciadle czystem?

O wielki poemacie! ciebie tylko można
Odczuć i wielbić razem w drgnieniu serca skrytem,
Gdy pijąc wszystkie blaski, źrenica pobożna

W cichym zachwycie tryśnie źródłem łez obfitem,
Gdy na skrzydłach tęsknoty dusza leci trwożna
I nakrywa się własnych marzeń swych błękitem.

ZE SCENY ŚWIATA [1]).

I.

Oto ja, anioł zniszczeń, miecz ująłem w dłonie,
I rzuciłem na ziemię ostry miecz anioła,
I szepnąłem monarchom siedzącym na tronie:
„Czas pokazać! kto więcej krwi wycisnąć zdoła?

„Czas pokazać! kto więcej na krwawym zagonie
„Położy ofiar ludzkich? kto miasta i sioła
„Poburzy mściwą ręką? i kto swej koronie
„Przysporzy rubin zdjęty z przeciwnika czoła?

„Kto to zrobi, ten cały świat mieć będzie w ręku
„I będzie go mógł deptać dla swojej zabawy,
„A z hekatomby trupów i żyjących jęku

„Wzniesie dla siebie pomnik wiekopomnej sławy;
„Ludy i monarchowie przyjdą przed tron krwawy
„I położą swe głowy na liktorskim pęku".

---

[1]) Cykl ten został napisany pod wrażeniem wojny prusko-francuskiej w r. 1870—1871. Drukowany był najpierw w *Dzienniku Poznańskim*.

II.

Rzekłem, i usłyszała mnie szalona pycha
Dwóch władzców, co ościenne dzierżyli narody,
Każdy z nich powstał, mówiąc: „Ludu! pragnę zgody,
„Ale sąsiad na twoje bezpieczeństwo czycha;

„Czyż możem patrzyć na to, że on bez przeszkody
„Wywyższa się w swej dumie i przyjaźń odpycha?
„Honor nasz zagrożony i laur nasz usycha,
„Trza go odświeżyć znowu w krwi rycerstwa młodej!

„Więc w imię Najwyższego, co nam da zwycięstwo,
„Stojąc przy słusznej sprawie, uderzmy na wroga!
„Z jego strony jest zdrada, gwałt, krzywoprzysięstwo,

„Chęć zaboru, bezprawie, rzezie i pożoga.
„W nas jest szlachetna duma i rycerskie męstwo:
„Uderzmy, a zwyciężym za zrządzeniem Boga!“

III.

I powstał krzyk ogromny u monarszych dworów,
Krzyk najemnych pochlebców, łaknących korzyści,
I rozszedł się po kraju wśród miast, siół i borów,
Wrzawą bezmyślnej dumy, ślepej nienawiści.

Spędzono ludzką trzodę z pastwisk i ugorów,
Zdatnych na rzeź wybrali królewscy artyści,
I stanęły szeregi nowych gladyatorów,
Wołając: „Niechaj słowo monarsze się ziści!"

Przygotowano mordu maszyny żyjące,
Dano znak potajemny i wojsko ruszyło...
Zostały puste domy i zboże stojące,

Płacz matek, którym synów z objęć wzięto siłą,
Sąd wojenny na krnąbrnych, psy nocą wyjące,
I widziałem, że wszystko po mej myśli było.

IV.

Wstała jutrznia czerwona, oświecając łany,
Na których zebrać miano pierwsze krwawe żniwo,
Przekroczono granice... i rozkaz wydany
Pędzi do boju falę żołnierzy ruchliwą.

Oto walka się wszczyna! i wróg rozespany
Napadnięty znienacka za broń chwyta żywo
I bagnetami lukę otwiera straszliwą...
Zgiełk i jęki w tej ciżbie krwią ludzką pijanej.

Rozpacz dodaje męstwa, walka jest morderczą,
W śmiertelnym pocałunku pada wróg przy wrogu,
Grzmią działa, tętnią jeźdźcy, stosy zwalisk sterczą,

Każda chata w płomieniach, trup przy każdym progu,
Nareszcie tryumf kończy ucztę ludożerczą,
A zwycięski monarcha dzięki składa Bogu.

V.

To był prolog dopiero, a teraz na scenie
Zwycięzca z Bożej łaski posuwa się dalej,
Lud więzi i morduje, wsie i miasta pali
I zrabowanem złotem napycha kieszenie.

Ludzi ma podostatkiem, będą go słuchali,
Będą padać w milczeniu na krwawej arenie,
Może więc zaspokoić pobożne sumienie
I okuć krnąbrny naród obręczą ze stali.

Co za zwycięski pochód! jakie wielkie czyny!
Hymn tryumfu w ślad za nim cały orszak śpiewa,
Co krok: to wyrok śmierci, pożar i ruiny,

A wojsko, jak szarańcza wkoło się rozlewa
Po ziemi, która swoje utraciła syny
I pod nogą najeźdźcy w własnej krwi omdlewa.

VI.

Teraz to rzeź za rzezią kroczy już wspaniale,
I stutysięczne armie pośród armat błysku
Zwierają się ze sobą w morderczym uścisku,
Roztrącając się wzajem, jako morskie fale.

Całe gromady giną przy zdobytem dziale,
Całe szwadrony leżą strzaskane w urwisku,
Całe szeregi trupów stoją w pośród ścisku,
I wał żywych przebiega po umarłych wale!

Sztuczne śmierci narzędzia i genialne bronie
Zmiatają całe stosy skrwawionego cielska,
Poszarpanej odzieży, szmat, błota i zielska.

Bezkształtne masy leżą zmięszane po zgonie...
W jedną kałużę spływa krew nieprzyjacielska...
Aż śmierć sama ze wstrętem kryje oczy w dłonie.

VII.

Piękne dzieło zniszczenia! cudne wynalazki!
Z nich każdy światu nową epokę otwiera,
I tak, jak za dotknięciem Mojżeszowej laski,
Zarazę i ciemności wkoło rozpościera.

Za nic dziś geniusz wodza, męstwo bohatera,
Za nic dziś Winkelrydów nieśmiertelne blaski:
Bohater niknie w tłumie, cały tłum umiera,
Nie wiedząc, czy monarcha sypie mu oklaski.

Zwycięzcy, zwyciężeni, w jednym wielkim dole
Zarówno bez zwycięstwa, sławy, bez imienia
Spoczywają, a śmierć im zarówno na czole

Pisze: „To są ofiary marne zaślepienia,
„Co odegrały smutną gladyatorów rolę!“
Kto tutaj jest zwycięzcą?... Ja anioł zniszczenia.

VIII.

Tryumf mój jest zupełny: sta tysięcy trupów
Armatniem mięsem krwawe kreślą krajobrazy,
Miasta stoją podobne do ognistych słupów,
Albo lecą w powietrze rozrzucając głazy.

Głód, nędza, rany pełne zaraźliwych strupów,
I stokroć ohydniejsze ludzkich dusz zarazy:
Szpiegostwo, zdrada, rozbój, chciwe swoich łupów,
Naczelnemu wodzowi stoją na rozkazy.

Zniszczone całe armie i prowincye całe,
I pobity przeciwnik miecz upuszcza z ręki...
Widowisko zarazem wielkie i wspaniałe!

Gnie się pod stopy wroga układny i miękki,
A zwycięzca pokornie składa niebu dzięki
I pod broń powołuje rzesze pozostałe!

IX.

Na tem koniec? Nie jeszcze! Naród do ostatka
Czuje się przymuszonym bronić przed ohydą
I gwałtami łupieżcy, a ojczyzna matka
Nie może wydać synów, co zań ginąć idą.

Woli pokryć się cała grobów piramidą,
Woli rozpaczy swojej niebo wziąć za świadka
I paść w gruzy, jak krwawa dziejowa zagadka,
Niż obcego ciemięstwa zostać karyatydą.

Więc pobożny najeźdźca, jak Jeremiasz nowy
Prorokuje upadek rychły Babylonu,
Widzi się powołanym ten wyrok surowy

Dopełnić mieczem wedle starego zakonu;
I wyciąga dłoń krwawą do boskiego tronu
Po namaszczenie dla swej poświęcanej głowy.

X.

Więc znów snują się dalej krwawych zdarzeń wzory:
Zasadzki, skrytobójstwa, miasta w pień wyrznięte,
Brodzące w krwi potokach znędzniałe upiory,
Przeklinające los swój, a razem przeklęte.

Wszystkie praw i ludzkości zdeptane pozory;
I pustynie zgnilizną na wskróś przesiąknięte,
I świat cały przesytem okropności chory,
I niebiosa milczące przerażeniem zdjęte.

Tylko motłoch, zwycięstwa spojony blekotem,
Niepomny, że sam klęski i zwycięstwa płaci,
Niepomny na krew ojców, i synów, i braci,

Niepomny, że jest właśnie ginącym Helotem,
Pokrywa scenę mordów swych oklasków grzmotem,
I urągając grobom, ludzką godność traci.

XI.

O jakże piękne plony! Na smutnem zwalisku
Wyrasta dzika orgia i szał zapomnienia;
Dla ludów wschodzi ciemna jutrzenka ucisku,
Podeptanie swobody, myśli i sumienia;

Jedność, kupiona drogo na pobojowisku,
W jedno wielkie więzienie dla wolnych się zmienia;
Pogwałcona moralność mści się, dając w zysku
Ludzkości nowy okres prób i poniżenia.

Znowu gwałt będzie prawem, a świętością siła,
Znowu w ciemnościach pełzać będzie tłum służalczy;
Nie wiedząc, za co ginie, przeciw czemu walczy;

Znowu zgnębiona rzesza będzie się modliła
Do posągu Molocha, w cześci bałwochwalczej...
Stało się tak, jak chciałem: by noc świat pokryła.

XII.

Ja jeden tryumfuję, patrząc na tę ziemię
Dyszącą w bólu, we łzach, we krwi i żałobie;
Ja jeden, krwawy rubin w moim dyademie
Umieściłem ku mojej chwale i ozdobie.

Ja jeden, klęsk i nieszczęść sprowadzając brzemię
Na ten ród pełen złości, wiedziałem, co robię,
I wytracając mieczem to przeklęte plemię,
Oparłem mój tron własny na pokoleń grobie.

Dzieło moje skończone. Lecz Bóg w chmurach skryty
Spogląda na dół okiem ojcowskiej litości,
Gotów mi łup odebrać i czyn pracowity

Zniweczyć jednem tchnieniem łaski i miłości...
Rozkazuje. Przekleństwo rzucam Mu w błękity!
I odlatywać muszę w wieczyste ciemności.

W OCZEKIWANIU JUTRA.

I.

Są szczęśliwi, co mogą witać jutro świata
Upojeniem rozkoszy, okrzykiem wesela,
Pewni, że przyszłość w dary najświętsze bogata,
Anielskim chlebem życia ludy poobdziela.

Lecz my, których dzień każdy do ziemi przygniata,
I głębiej w piersi wbija nóż nieprzyjaciela,
Nie możemy z ufnością patrzeć w przyszłe lata,
Ni sławić nowej ery piosenką minstrela.

My patrzymy z niewiarą na świetne zdobycze,
O których upojone dziś narody marzą,
I nie spieszymy blaski podziwiać zwodnicze,

Co krwawemi łunami nasze oczy rażą;
Lecz ku przeszłości swojej odwróceni twarzą
Czekamy, co przyniesie jutro tajemnicze...

II.

Dość długo grywaliśmy tu na świata scenie
Rolę Danaid, smutną robotą zajęci,
W bezdenną otchłań lejąc krwi swojej strumienie,
Topiąc w niej wszystkie myśli, uczynki i chęci.

Teraz już nam nie wolno po tak strasznej cenie
Kupować chwili złudzeń, co bezsilnych nęci;
Dziś nam nie wolno rwać się na oślep w płomienie,
By dźwięk imienia ludzkiej przekazać pamięci.

Dziś naszym obowiązkiem trwać w milczeniu głuchem,
Z karnością postawionych na czatach żołnierzy,
Nie zdradzając się żadnym okrzykiem lub ruchem;

Dziś tylko wolno naprzód posuwać się duchem,
I przysposabiać sobie siły zasób świeży,
Zanim nam Bóg obronę przyszłości powierzy!

III.

Ciężko trwać tak zgnębionym wśród zwycięzców [wrzawy,
Gdy teraźniejszość dalej kroczy wciąż wyniosła;
Ciężko nie mieć na ziemi dla ducha podstawy,
I patrzeć, jak nas ludzkość o głowę przerosła.

Ciężko w niepewną przyszłość płynąć jak cień krwawy
Na wrzącej fali zdarzeń bez steru i wiosła,
Nic nie uronić z skarbca świętości i sławy,
I czuwać, by nas rozpacz w odmęt nie uniosła.

Jednak trzeba zagadkę rozwiązać sfinksową,
Zgodzić sprzeczne warunki życia, co z zwaliska
Wschodzi i na dzień jasny przez grób się przeciska;

Trzeba z cienia i pleśni dobyć myśl dziejową,
I ze światem żyjących pojednać na nowo,
W imię świtu wolności, co dla wszystkich błyska!

NAD GŁĘBIAMI.

I.

Zmiennego bytu falo ty ruchliwa!
Co nas unosisz po wszechświata toni,
Daremnie wzrok nasz zatem wszystkiem goni,
Co pod powierzchnią twoją się ukrywa;

Choć nam w błyskawic blasku się odsłoni
Głąb niezmierzona, ciemna i straszliwa...
Trudno nam dotrzeć spojrzeniami do niej
Przez pianę zjawisk, co po wierzchu pływa.

Próżno nad głębią schyleni, jej ciemnic
Obraz chwytamy, gdyż ruchliwa fala,
Zamiast odwiecznych istnienia tajemnic,

Własną twarz naszą ukazuje zdala,
I nasz widnokrąg cały się powleka
Rzuconem w wszechświat odbiciem człowieka.

II.

Wieczne ciemności! bezdenne otchłanie!
Co otaczacie tajemnicą życie,
Próżno was ciągle pytamy: milczycie,
Głuche na nasze skargi i wołanie.

Próżna ciekawość! próżne serca bicie!
Nikt odpowiedzi od was nie dostanie,
Chyba nam echo odrzuci pytanie,
Przywtórzy myśli, tkwiącej w piersiach skrycie.

I nieraz biedni za prawdę bierzemy
Ten głuchy oddźwięk własnej wyobraźni,
Sądząc, że słyszym tajny głos natury,

Lecz wszechświat stoi tak jak przedtem niemy,
I otchłań póty milczeniem nas drażni,
Póki nas w mrok swój nie wciągnie ponury.

III.

Łudząca Maja otworzy ci oczy,
Migając widzeń różnobarwną tęczą,
Splotami wrażeń zmysłowych otoczy
I siecią złudzeń usidli pajęczą.

Widzisz tłum zjawisk, co się wkoło tłoczy,
Słyszysz melodye, co ci w uszach dźwięczą,
I śnisz sen smutny, chwilami uroczy,
W którym cię widma zagadkowe dręczą.

Ścigając próżno przynęty zwodnicze,
Co się wciąż z twojej usuwają dłoni,
Pragniesz rozpoznać więzy tajemnicze

I swej piastunki zakryte oblicze;
Lecz ledwie rękę wyciągnąłeś do niej,
Łudząca Maja oczy ci zasłoni.

IV.

Jak ptaki, kiedy odlatywać poczną,
Bez przerwy ciągną w dal przestrzeni siną,
I horyzontu granicę widoczną
Raz przekroczywszy, gdzieś bez śladu giną...

Tak pokolenia w nieskończoność mroczną
Nieprzerwanemi łańcuchami płyną,
Nie wiedząc nawet, skąd wyszły?... gdzie spoczną?...
Ani nad jaką wznoszą się krainą?

W chmurach i burzy, lub w blasku promieni,
Podległe skrytych instynktów wskazówce,
Lecą, badając wązki szlak przestrzeni,

Który im znaczą poprzedników hufce,
I tę przelotną grę świateł i cieni,
Jaką w swej krótkiej zobaczą wędrówce.

V.

Gdy nas ciemności otaczają wszędzie,
W swej zacieśnionej zatrzymując sieci,
Wzrok nasz nie sięga za drogi krawędzie
I nie pytamy: co za nią? jak dzieci.

Lecz niech kto światło na drodze roznieci,
To choć wzrok szerszy widnokrąg posiędzie,
Dokoła miejsca, które blask oświeci,
Otchłań ciemności jeszcze większą będzie.

Wraz z blaskiem wiedzy zdobytej płomienia,
W miarę jak widzeń krąg się rozprzestrzenia,
Wciąż obszar mroków nieprzebytych rośnie...

I to, co dostrzedz możemy, jest niczem,
Przed tem nieznanem, skrytem, tajemniczem,
Co nam mrok wieczny zasłania zazdrośnie.

VI.

Na falach swoich toczy słońc miliony
Wieczny Ocean bez dna i wybrzeży,
Którego nawet goniec uskrzydlony
Przestrzeni, promień świetlany nie zmierzy;

Ani fantazyi młodej polot świeży,
Ani błysk myśli, na zwiady rzucony,
Do krańców jego nigdzie nie dobieży
I tajemniczej nie przedrze zasłony.

Nieskończoności łańcuch wyciągnięty,
Biegnąc przez mroczne przestrzeni odmęty,
Wśród bezbrzeżnego znika nam ogromu,

Niemocą myśli przedwcześnie ucięty.
A z drugiej strony ginie pokryjomu
Gdzieś w nieskończonej małości atomu.

VII.

Rzucone w przestrzeń złotych gwiazd kagańce,
Te wirujących światów zbiorowiska,
Skupione bytów chwilowych ogniska,
Ten cały ogrom, za którego krańce

Nie możem sięgnąć przygodni mieszkańce,
Z nieskończoności toni bez nazwiska
Wzniósł się podobny wirującej bańce,
Która na fali tęczuje i pryska.

Niesie go z sobą ta nieznana fala,
Co poza bytem będąc, byt okala,
I wszystko z łona swego wyprowadza,

I nowe słońca w przestrzeniach zapala,
Gdy nią poruszy kierująca władza,
Co byt na głębiach nicestwa osadza.

VIII.

Noc, noc wieczysta, głuszą przedbytową
Otacza kręgi drgające istnienia,
Noc i pierwotny eter bez skupienia,
Bez związku z światów fizyczną budową,

Swą jednolitą nicość rozprzestrzenia,
Z której dopiero falę światów nową,
Wirami mgławic skłębionych pierścienia,
W przyszłości twórcze wyprowadzi słowo.

Noc, noc wieczysta! W jej bezwładnej czczości,
Żaden istnienia odblask nie zagości;
Nic się nie zmienia, nie drga, nie posuwa

I nic nie mierzy tej pustej wieczności,
Tylko Duch świata bezustannie czuwa
I przyszłych istnień z siebie nić wysnuwa.

IX.

Nieśmiertelności nie poszukuj w próchnie,
Albo w czynnikach, co się wnet rozprzęgną;
Nieśmiertelnemi nie są kość i ścięgno,
Ni żądz płomyki, które śmierć zadmuchnie.

Te dumne myśli, co się w głowie lęgną,
Pójdą na pastwę bladej przemian druchnie,
Jeśli za zlepek znikomy nie sięgną,
I osobistej sławy oddźwięk zgłuchnie.

Wszystko, co świeci w ludzkich cacek kramie,
Co przypadkowe, ułomne i liche,
Co nosi zachceń osobistych znamię,

Choć się przystraja w odrębności pychę,
Wraz z swą skorupą w prochy się rozłamie,
Na dno przepaści opadając ciche.

X.

Tylko treść, która z całością się splata,
To, czego żaden trąd nie upośledza,
Czego nie dzieli egoizmu miedza
Od wszystkich ogniw duchowych wszechświata;

To, co chwilowy zakres swój wyprzedza,
I z życiem przyszłych pokoleń się brata;
Tylko ta wspólnych źródeł samowiedza,
Co z gwiazd na gwiazdy wzlatuje skrzydlata,

I wszędzie siebie znajduje świadomie,
W minionych zmierzchach, w mgle przyszłych stuleci,
W sercach współbraci i światów ogromie,

I w każdym życiem drgającym atomie:
Ta jedna z czasu wyplątana sieci,
Nieśmiertelnością poza grób uleci.

XI.

Ileż to zgonów, i narodzin ile,
W krótkim dni naszych przechodzim zakresie!
Tłum nowych pędów wciąż do życia rwie się,
Gdy to, co przedtem w pełnej kwitło sile,

Spada jak liście obumarłe w lesie...
Szybko mkną w przeszłość niepochwytne chwile,
A każda cząstki oderwane niesie
Z naszego wnętrza... i składa w mogile.

Wciąż coś przybywa i coś nam ucieka;
Myśli, uczucia rodzą się i giną;
Każdy dzień stwarza świeży kształt człowieka,

Który nad dawną wyrasta ruiną...
I tylko pamięć wiąże w całość jedną
Mgliste obrazy, co w przelocie bledną.

XII.

Wzniosłe dążenia, szlachetne pobudki,
Rozpaczne walki, zgliszcza i cmentarze,
Róże miłości, uczuć niezabudki,
I ukochanych jasne przedtem twarze,

We mgłach przeszłości nikną, jak sen krótki...
A czas powoli w pamięci zamaże
Najdroższe rysy i najcięższe smutki,
I echa wspomnień zgłuszy w dziennym gwarze.

Napróżno serce chce zatrzymać w głębi,
Gdy szron jesienny kurczy je i ziębi,
Wdzięczne obrazy błogości dziecięcej;

Próżno chce wskrzeszać bieg minionej chwili,
I tych, co z nami wspólnem życiem żyli:
To, co już przeszło, nie powraca więcej!

XIII.

Przeszłość nie wraca, jak żywe zjawisko,
W dawnej postaci, jednak nie umiera:
Odmienia tylko miejsce, czas, nazwisko,
I świeże kształty dla siebie przybiera.

Zmarłych pokoleń idealna sfera
W żywej ludzkości wieczne ma siedlisko,
A grób proroka, mędrca, bohatera
Jasnych żywotów staje się kołyską.

Zawsze z tej samej życiodajnej strugi
Czerpiemy napój, co pragnienie gasi;
Żywi nas zasób pracy plemion długiej,

Ich miłość, sława, istnienie nam krasi;
A z naszych czynów i z naszej zasługi
Korzystać będą znów następcy nasi.

XIV.

Po wszystkie czasy, przez obszar daleki,
Wiążą się istnień kolejne ogniwa;
Fala pokoleń, wielkie ludów rzeki,
Wszystko w ocean jeden wspólny spływa,

Który zasila coraz dalsze wieki...
Z rzeszą zniknionych ciągle rzesza żywa,
Jako strumienie, mieszają swe ścieki
I jedna drugą ze sobą porywa.

Wszyscy są wspólną związani macierzą:
Umarli, żywi, wielcy, czy też mali,
Wrogowie, bracia, dalecy lub blizcy,

Jedni od drugich nawzajem zależą,
Odpowiadając, na wypadków fali,
Każdy za wszystkich, za każdego wszyscy!

XV.

Na dzieci spada win ojcowskich brzemię,
Lud pokutuje za grzechy zbrodniarza:
Każde gwałcące sprawiedliwość plemię,
Cierpień i nieszczęść ludzkości przysparza.

Złe, jak zaraza, w lot obiega ziemię...
A czy na sobie łachman ma nędzarza,
Czy też w książęcym kroczy dyademie,
Zatrutem tchnieniem cały świat zaraża.

Wobec praw, światem rządzących wszechwładnie,
Nikt ujść nie może złych wpływów przekleństwa;
Każdemu w dziale część winy przypadnie

Nawet za cudze zbrodnie i szaleństwa;
Bo każdy nosi w duszy swojej na dnie
Odpowiedzialność wspólną człowieczeństwa.

XVI.

Dzień, w którym jeden z grzesznych braci koła,
Najświętsze prawa zdeptawszy niegodnie,
Rozpali krwawą pożarów pochodnię,
Widziadło mordów na ziemię przywoła

I zaćmi światła narodów przewodnie,
Dzień ten jest klęską dobrego anioła,
I ludzkość cała, chyląc kornie czoła,
Winna za syna pokutować zbrodnie;

Winna obchodzić we łzach i żałobie
Grzech, który nową klątwą ją obarczy
I zwróci z drogi ku jaśniejszej dobie...

Powinna szukać przeciw złemu tarczy,
Poznaniem prawdy potęgując w sobie
Miłość, co środków zbawienia dostarczy.

XVII.

Co złość zniweczy, co występek zburzy,
To miłość z gruzów napowrót postawi.
Upadłą ludzkość z krwi i łez kałuży,
Gdzie ją spychają występni i krwawi,

Czyn poświęcenia podniesie i zbawi.
Myśl, która dobru powszechnemu służy,
Wiedzie za sobą duchów zastęp duży,
Jak łańcuch w niebo lecących żórawi.

Cichych poświęceń nieustanna praca
I serc szlachetnych dobroć promienista
Grzesznej spuścizny przekleństwo odwraca,

I coraz głębiej przenikając, czysta,
Powszechny skarbiec duchowy wzbogaca,
Z którego każdy czerpie i korzysta.

XVIII

Tak złe, jak dobre wspólną jest zdobyczą:
I ci, co czynem ewangelię głoszą,
I ci, co ziemię zbrodniami pustoszą,
Dzielą się plonem i spadek dziedziczą;

I wszyscy następstw ciężary ponoszą,
Wszyscy w dorobku ciężkim uczestniczą,
Który napawa bólem lub rozkoszą
Ludzkiego rodu duszę tajemniczą.

Ten wzajemności twardy obowiązek,
Zależność losów i wspólnictwo winy
Z pnia odwiecznego wyrosłych gałązek,

Utrwala wielki religijny związek,
Łączący członków rozpierzchłej rodziny
W Duchu, co wszystko ożywia jedyny!

XIX.

Dopiero w związku z wszechświata ogromem
Człowiek granice istnienia rozszerza;
Na mocy swego z naturą przymierza
Już się nie czuje bezsilnym atomem,

Tonącym w wnętrzu nicestwa łakomem;
Lecz odzyskuje odwagę żołnierza,
Co wie, że za nim stoi armia świeża,
I że świat cały jest dla niego domem.

Jako cząsteczka tej wielkiej potęgi,
Co się rozciąga w nieskończoność wszędzie...
Może ogarniać wszystkie widnokręgi,

Odczuć się w światów niewstrzymanym pędzie,
I na tle czasu wijącej się wstęgi
Żyć w tem, co było, co jest i co będzie.

XX.

W nieprzerwalności zbiorowego bytu
Duch współistnienia wieczystego świadom,
Może z spokojem, z jasnego błękitu,
Swego pochodu przyglądać się śladom:

Cząstkowym zgonom, pozornym zagładom,
Burzliwej fali ciemnemu korytu,
Lecącym w otchłań stuleci kaskadom,
Pomrokom nocy i jutrzenkom świtu.

Jemu nie wydrze błogiego spokoju,
Ziemskich męczarni małoduszna trwoga,
Nie wprawi w rozpacz dziki zamęt boju,

Ani dziejowej klęski noc złowroga;
Gdyż mu widnieje pewna w przyszłość droga,
Gdzie śmierć jest stopniem wyższego rozwoju.

XXI.

W coraz to wyższe przeradza się wzory
Pył ożywiony, co w przestrzeni krąży;
Ledwie się w cieniu śmiertelnym pogrąży,
Wnet go z martwości świt rozbudzi skory.

Śmierć, to ciągłego postępu chorąży!
Który na nowe świat prowadzi tory,
Wschodzącym kiełkom usuwa zapory
I z rzeszą istot w nieskończoność dąży.

Z jego opatrznej, choć surowej łaski
Świat nie zastyga pod próchnem i pleśnią,
Ale młodości wciąż przebrzmiewa pieśnią,

I w coraz nowe przystraja się blaski,
I coraz dalej mknąc na fali chyżej,
Po stopniach przemian posuwa się wyżej.

XXII.

Naprzód i wyżej! przez ból i męczarnie,
Przez ciemną otchłań, przez śmierci podwoje,
Przez szereg istnień padających marnie,
Lecą bez końca tłoczące się roje.

Senne zarodki, tkwiące w swojem ziarnie,
Głazy zakute w bezwładności zbroję,
Czekają tęsknie na zbudzenie swoje,
Gdy je dreszcz życia przejmie i ogarnie.

Naprzód i wyżej! w gwiaździste ogromy,
Prąd życia coraz przyśpieszonym ruchem,
Porywa z głębi bezwiedne atomy...

I w to, co było i martwem i głuchem,
Rzuca blask myśli, sam siebie świadomy,
Przenika światłem i wypełnia duchem.

XXIII.

Choć w praw niezmiennych poruszasz się kole,
Jeśli rozpoznasz twórcze ich zamysły,
I ten ich związek z dobrem świata ścisły,
I cel ich wieczny w swoją wcielisz wolę,

Wtedy swobodne masz do czynu pole:
Opadło jarzmo, więzy twoje prysły,
I jako czynnik chętny, niezawisły,
W rozwoju świata grasz świadomą rolę.

Lecz gdy chcesz działać ku powszechnej szkodzie,
Gwałcić istotne zadania człowiecze,
Trudem Danaid wszelka twoja praca;

Jarzmo niewoli kark ci wtenczas bodzie,
Wyższa potęga przemocą cię wlecze
I przeciw tobie czyny twoje zwraca.

XXIV.

Przez chwilę możesz ślepą być zaporą,
Niszczącą siłą, jadowitym lekiem,
Którym natura leczy ludzkość chorą,
Tamą rzuconą przed strumieni ściekiem,

Ażeby w wielkie rozlały jezioro,
A którą zaraz, z jutrem niedalekiem,
Wezbrane wody skruszą i zabiorą:
Tylko już wolnym nie będziesz człowiekiem!

Z wolności wieczne prawa cię wywłaszczą,
A tych nie zwalczysz żadną ziemską władzą,
Ni żądłem żmii, ni tygrysa paszczą,

Choć tryumf zgubnym twym dążnościom dadzą,
Z chwilą, gdy tajne cele przeprowadzą,
Wraz z tobą dzieło twoje zaprzepaszczą!

XXV.

Jako cząsteczka wszechświata myśląca,
Szukam w nim celu i o celu myślę,
Bo ten się wiąże z mem pojęciem ściśle,
Tak jak odczucie światła lub gorąca.

Znam tylko bowiem jedną z form tysiąca
Natury, w moim odbitej umyśle,
Sądzę ją z tego, co mi sama przyśle
I czem o władze mi dane potrąca.

Natura twórcza, wieczna, bezcelowa,
Nie da się zmieścić w naszych pojęć ramie,
Więc wiecznym prawom, co w swem łonie chowa,

I konieczności, co nas wszystkich łamie,
Ludzkiej dążności narzucamy znamię,
Na ludzki język tłómacząc jej słowa.

XXVI.

Pierwotną białość słonecznych promieni
Ziemski widnokrąg rozszczepia i łamie
Na chmurach, w tęczy różnobarwnej bramie,
I fala światła inaczej się mieni

W błękitach morza, w żywej łąk zieleni,
W złocistych łanach i zórz krwawej plamie...
I każdy z kwiatów innej barwy znamię
W grze malowniczych odbija odcieni.

Podobnie światło prawdy w ziemskiej sferze,
Przez mgły spływając w tęcze się rozwionie,
Gdy ludzkim duszom niesie blaski świeże:

Każda z nich w siebie inne barwy chłonie,
Każda za całość jednę cząstkę bierze:
Tę, którą sama w swem odbija łonie.

XXVII.

Smutny jest schyłek roku w mgieł pomroce!
Gdy wiatr jesienny zwiędłym liściem miota,
Ostatnie kwiaty, ostatnie owoce,
Strąca i grzebie pod całunem błota.

Smutniejszy! koniec bezsilny żywota,
Osamotnienie starości sieroce,
I długie, ciemne, pełne cierpień noce,
W których się ludzka rozprzęga istota.

Lecz najsmutniejszy jest duchowy schyłek
Zamierającej powoli epoki,
Gdy w niwecz poszedł pokoleń wysiłek,

Strawiwszy wszystkie żywotniejsze soki,
A w spadku szereg błędów i pomyłek
Na dni ostatnie rzuca cień głęboki!

XXVIII.

Ci, którzy jasność żegnają zniknioną
Gdy burza całe zniweczyła żniwo,
Nad spustoszoną rozpaczając niwą,
Myślą, że wszystko ciemności pochłoną,

Dalszych rozkwitów mrożąc siłę żywą.
Tymczasem pod tą ciemności osłoną,
Pod dobroczynną martwości pokrywą,
Tysiącem kiełków drży już ziemi łono,

Ręką natury rozrzuconych skrzętną.
W spowiciu nocy, w zimowej zamieci,
Bijące wewnątrz nie ustaje tętno.

I życie w głębi walką wre namiętną,
By się wydobyć, kiedy je oświeci
Brzask nowych wiosen lub nowych stuleci.

XXIX.

Póki w narodzie myśl swobody żyje,
Wola i godność i męstwo człowiecze,
Póki sam w ręce nie odda się czyje
I praw się swoich do życia nie zrzecze,

To ani łańcuch, co mu ściska szyję,
Ani utkwione w jego piersiach miecze,
Ani go przemoc żadna nie zabije,
I w noc dziejowej hańby nie zawlecze.

Zginąć on może z własnej tylko ręki:
Gdy nim owładnie rozpacz senna, głucha,
Co mu spoczynek wskaże w grobie miękki,

I to zwątpienie, co szepcze do ucha:
Że jednem tylko lekarstwem na męki
Jest dobrowolne samobójstwo ducha.

XXX.

Taką jak byłaś, nie wstaniesz z mogiły!
Nie wrócisz na świat w dawnej swojej krasie;
Musisz porzucić kształt przeszłości zgniły,
Na którym teraz robactwo się pasie,

Musisz zatracić nie jeden rys miły,
I wdzięk w dawniejszym uwielbiany czasie...
Lecz nową postać wziąć i nowe siły
I nowych wieków oręż mieć w zapasie.

Grób cię nie odda światu widmem bladem,
Z mogilnej pleśni i zgnilizny plamą,
Do wnętrza śmierci przesiąkniętą jadem...

Lecz przystrojona w królewski dyadem,
Musisz do życia wkroczyć życia bramą:
Musisz być inną, choć będziesz tą samą!

XXXI.

Odkąd znów padło w proch twe czoło dumne,
Na synów twoich dziwna zeszła trwoga;
Ich wzrok bezmyślny widzi tylko trumnę,
Na której wsparła się zwycięzcy noga.

Oni nie wiedzą, że ty prochom dziatek
Dziś posłuchanie dajesz tam u Boga,
I śmią narzekać, o najlepsza z matek!
Żeś porzuciła ich na pastwę wroga;

Lecz ty wymową cichą, apostolską,
Ucz ludy zginać przed tobą kolana,
I bądź w błękitach tą harfą eolską,

Po której wichry głoszą imię Pana.
Jasnym sztandarem duchów bądź o Polsko!
Póki nie wstaniesz z prochu nieskalana.

XXXII.

Nie myśl o szczęściu! nie myśl o miłości!
Dla nas ten owoc nigdy nie dojrzewa:
My rwiemy inny z przeklętego drzewa,
Co daje wiedzę bytu i nicości.

My znać nie możem uniesień młodości,
Bo już w kolebce truciznę nam wlewa
Widmo haniebnej i krwawej przyszłości,
I do snu pieśni straszliwe nam śpiewa.

Więc młodość nasza mija bezpowrotnie
Jak błyskawica wśród bezpłodnej burzy,
Serce się nasze wypali i znuży,

I nic nie zdoła podnieść go istotnie,
A gdy nie możem żyć i cierpieć dłużej...
To na wygnaniu giniemy samotnie.

XXXIII.

Pośród narodów, wyście nędzarzami!
Z dumą hidalgów nosicie łachmany,
I odkrywacie światu swoje rany,
Aby zarabiać na chleb krwią i łzami.

Własną nikczemność znacie dobrze sami,
Więc się chowacie w pamiątek kurhany,
I gdy kto skargę podniesie stroskany,
Wołacie: że on świętość grobu plami.

Trzeba mieć litość nad wami, nędzarze,
Trzeba wam życzyć o biedni, ułomni!
Żebyście ciche zalegli cmentarze,

I z tego świata zeszli bezpotomni;
Śmierć wam tę jedną nadzieję ukaże:
Że o was Polska i przyszłość zapomni!

PRZYJŚCIE MESYASZA.

I.

Lud czekający na swego Mesyasza,
Nie zwróci oczu na dziecinę małą,
I do biednego nie zajrzy poddasza;
Mniema, że zbawcę, którego czekało

Tyle pokoleń, ujrzy ziemia nasza
Odrazu ziemską okrytego chwałą,
Jak na wojsk czele niewiernych rozprasza;
Mniema, że wszystko będzie przed nim drżało.

Że nawet głowy ugną się książęce,
Zdając mu władzę nad światem... Więc jeśli
Usłyszy, że się narodził w stajence,

I że mędrcowie dary mu przynieśli,
Pyta ze śmiechem: „Jakto? ten syn cieśli
Ma rządy świata ująć w swoje ręce?“

II.

Nawet ci wszyscy najwierniejsi ucznie,
Którzy do końca w swym mistrzu widzieli
Zbawienie świata i światłości jutrznię,
Gdy na śmiertelnej ujrzą go pościeli

Z przebitym bokiem przez żołdaków włócznię,
Gdy archanielskich nie widząc mścicieli,
Widzą, jak zgraja wrogów się weseli
I jak swój tryumf święci teraz hucznie:

To i ci z twarzą przerażeniem zbladłą
Zwłoki w grobowe tuląc prześcieradło,
Zwątpią o prawdzie słów boskiego męża,

Trwożąc się w duchu, że wszystko przepadło...
A on tymczasem bez wojsk i oręża,
Po swoim zgonie idzie i zwycięża.

III.

Choć krzyżowany przez odstępców roty,
W sercu ludzkości umiera na nowo,
I z szczytu swojej niebieskiej Golgoty
Na chwilę w otchłań zapada grobową,

A świat, straciwszy promień prawdy złoty,
Drogę zbawienia i żywota słowo,
Krzyk rozpaczliwy podnosi sieroty.
Patrząc na mękę pokoleń dziejową,

On spełnia dalej odkupienia dzieło...
I to, co w krwawej bezprawia powodzi
Pod znakiem jego walcząc, zatonęło,

Wraz z nim w postaci doskonalszej wschodzi...
I zanim grobu łono się zamknęło,
W sercu ludzkości Bóg się znowu rodzi.

IV.

Kroczący skrycie w dziejowym zamęcie
Bóg spodziewaną nie nadchodzi drogą,
Blaski na niebios widne firmamencie,
Łuną pożarów okazać się mogą,

I te nadzieje, których się zawzięcie
Czepiamy sercem, mszczą się na nas srogo;
Tymczasem zbawczej idei poczęcie
Niedostrzeżonem bywa przez nikogo.

Chociaż na ziemię zstępuje jak bóstwo,
Szydzą z niej sobie małoduszne zgraje,
Widząc pozorną słabość i ubóstwo,

I musi przenieść prześladowań mnóstwo,
I śmierć na krzyżu... Lecz gdy zmartwychwstaje,
Podbija ludy i zdobywa kraje!...

II.

WIERSZE RÓŻNE.

ORFEUSZ I BACHANTKI.

Pani Maryi Ilnickiej.

CHÓR BACHANTEK.

Dionysos boski, boski,
Przyszedł na świat uśmiechnięty,
By przemienić łzy i troski
W młodocianych żądz ponęty;
W złotej czarze
Przyniósł w darze
Upojenia słodki szał,
Dla spragnionych dusz i ciał!

Z jego przyjściem proroctw ciemnych
Ustąpiła cześć i trwoga,
Ustał mściwy rząd Podziemnych,
Słonecznego mając boga;
Ziemia cała
Zapomniała
O żałobie przeszłych dni,
I o szczęściu tylko śni.

Orfeuszu! lirę swoją
Do słodkiego nastrój brzmienia,
Niech jej dźwięki rozkosz zdwoją,
Co nam piersi rozpłomienia,
Niech się w serca nasze leje,
Niech zapala ogniem krew,
Niechaj z nami wraz szaleje
Słodki śpiew!

Świeżej wiosny śpiewaj wdzięki,
Niezmąconą życia radość,
I ciał naszych powab miękki
I namiętnych pragnień bladość.
Nowych światów pieśń weselną,
Pieśń zmysłowych ponęt stwórz,
Daj ją nagą i bezczelną
W wieńcu róż!

ORFEUSZ.

Powróciłem z podziemnej otchłani,
Z posępnego umarłych królestwa,
I wciąż widzę, jak cierpią skazani,
Widzę wieczność męki i nicestwa...
I straciłem u piekielnych progów
Pamięć szczęścia i słonecznych bogów

Zostawiłem za straszliwą bramą
Mej miłości i walk moich ślady,

A wyniosłem ból i rozpacz samą,
Gdy w objęciach cień jej zniknął blady,
A jam nie mógł powrócić przebojem
Po jej życie, które było mojem.

Wtedy pękły struny w mojej lirze,
Struny serca, co tak dźwięczne były,
I w piekielnym utonęła wirze
Przeszłość pełna słodyczy i siły,
A jam odszedł okryty żałobą,
Zostawiając wszystko poza sobą.

Nie żądajcie więc pieśni odemnie,
Bo ja z wami w szeregu nie stanę,
By na gruzach przeszłości nikczemnie
Wielbić świata jaskrawą przemianę,
I przed waszym schylając się bogiem
Wydrzeć z serca, co było mi drogiem.

Wszystkie wasze pragnienia i cele,
Wszystko, co was upaja i pieści,
I serc waszych bezwstydne wesele:
Wszystko mojej urąga boleści,
I pogardzam kłamliwą rozkoszą
I bóstwami, co ją wam przynoszą.

CHÓR BACHANTEK.

Czy słyszycie? czy słyszycie?
Naszych bogów czcią pomiata,

I znieważa nasze życie,
Odrodzeniem gardząc świata;
A więc pocóż z myślą chorą
Wśród kwiecistych życia łąk,
W drodze stawać ma zaporą?
Niechaj ginie z naszych rąk!

DIONYSOS.

Coście zrobiły!... Potrzaskana lira,
I śpiewak martwy u stóp waszych leży,
W ręku Bachantek, pod ciosem Satyra,
Ucichł na zawsze zdrój melodyi świeży.

I krwawym laurem uwieńczono skronie
Tego, co wyraz ludzkiej dał rozpaczy,
Wyraz tak śpiewny, że długo po zgonie
Przemawiać będzie do smutnych słuchaczy.

Taką jest zwykle sprawiedliwość świata,
Która dawniejsze bożyszcza obala,
Taką dla natchnień minionych zapłata,
Kiedy kierunek zmieni rwąca fala.

Trudno! nie można powstrzymać strumienia,
Ani młodzieńczych uniknąć nadużyć,
Kroczące naprzód nowe pokolenia
Kruszą narzędzia, co im nie chcą służyć.

Świat żywych musi niewdzięcznym pozostać
Dla tych, co sercem z przeszłością związani,
Zniknioną wiecznie opłakują postać,
Myślą do ciemnej wracając otchłani.

Musi zapomnieć ziemia o swych stratach,
Aby na nowo stanęła w rozkwicie...
W namiętnym szale i weselnych szatach
Musi biedz dalej odmłodzone życie...

Pobojowiska, gruzy i cmentarze,
Muszą się pokryć kwiecistą zasłoną,
I słodki napój musi szumieć w czarze,
I poić nowych biesiadników grono.

I słusznie rzesza żywych się domaga,
By dla niej z pieśni nowa jasność biła,
Świeża chęć życia i świeża odwaga,
Coby ją naprzód w przyszłość prowadziła.

PIGMALION.

Pani Maryi i Maryanowi Sokołowskim

Jam cię wydobył z marmurów spowicia.
Gdzie spoczywałaś bez kształtów na wieki,
Nie powołana przez bogów do życia;
Jam sercem cień twój odszukał daleki,
Błądzący w istot niestworzonych rzędzie;
Ja cię przeniosłem przez ciemne krawędzie
Snu i nicestwa na ten świat słoneczny,
Twojej piękności dając wyraz wieczny.

Stworzyłem ciebie swojej piersi tchnieniem...
I moja dusza w marmur moc przelała,
Ażeby martwym przestał być kamieniem,
I przybrał powab dziewiczego ciała,
I zadrżał drżeniem bijącego łona,
I tchem rozkoszy, którym zżywiona
Zdajesz się na świat wybiegać z ukrycia,
Spragniona blasków, miłości i życia.

Dałem ci senne i spokojne trwanie,
I słodkich wzruszeń dałem wdzięk zwodniczy,

Przeczucie szczęścia, miłości zaranie,
Uśmiech i wyraz niebiańskiej słodyczy,
Wszystko ci dałem, wszystko co potrzeba,
Prócz jednej iskry życiodajnej z nieba,
I oto teraz zgryzota mnie kruszy,
Żę dając tyle, nie mogłem dać duszy.

Bóstwa, co sięgnąć śmiertelnym nie dadzą
Po tajemniczą, boską moc tworzenia,
Karząc mnie zaraz, nieprzepartą władzą
Do twej postaci przykuły z kamienia,
I moje serce miłością wybucha
Do tego kształtu, co stanął bez ducha,
I burza uczuć namiętna i wrząca
O twe kamienne stopy się roztrąca.

Przy tobie każda inna piękność blednie,
Jako noc w chwili, gdy świta poranek.
Nie dla mnie teraz rozkosze powszednie,
Nie dla mnie zwykłe pieszczoty ziemianek,
Nie dla mnie żywa usteczek wymowa,
Ni uśmiech, który w rumieńcu się chowa;
Bo tu na ziemi i w ciemnym Erebie
Nie będę żadnej kochał, oprócz ciebie.

Lecz próżno chciwie wyciągam ramiona,
I próżno wszystkie powtarzam zaklęcia...
Bo ty nie zstąpisz drżąca i stęskniona,
I nie upadniesz w otwarte objęcia;

Ogniem się piersi twoje nie zapalą,
I nie poruszą żywą pragnień falą,
W twych oczach płomień nie zabłyśnie świeży,
I serce na mem sercu nie uderzy.

Usta, co chylić zdają się tak skromnie,
Czekając pierwszych pocałunków świtu,
Te się miłośnie nie przybliżą do mnie,
Nie zleją z memi w jedną pieśń zachwytu!
Ty nie odpowiesz, choć jesteśmy sami,
Dreszczem rozkoszy, rumieńcem i łzami,
I nie zanurzysz duszy mej widomie
W wspólnego szczęścia świetlanym ogromie.

Zawsze stać będziesz nieruchoma, cicha,
W marzeniu z łona martwości wysnutem,
I sercu memu, co z pragnień usycha,
Na skargi niemym odpowiesz wyrzutem:
Że cię z nicości przywoławszy czarnej,
Dałem istnienia tylko pozór marny!
Będziesz mi wiecznie przypominać winę,
Za którą cierpię, szaleję i ginę.

Lecz niech tak będzie! Żałować nie mogę,
Żem ciebie stworzył i ukochał razem,
Bom twoim kształtom w przyszłość wytknął drogę,
Ukrywszy płomień pod milczącym głazem...
I po mej śmierci twa pierś marmurowa
Całą mą duszę weźmie i przechowa

I przystęp twórczym natchnieniem otworzy
Dla przyszłych wieków nadchodzącej zorzy.

Więc jako światło w grobowcu płonące
Zniknionych światów zabłyśniesz urodą,
I w ciemność iskier rozrzucisz tysiące,
Któremi ludzkość poobdzielasz młodą.
W czasach pokrytych barbarzyństwa cieniem
Ty będziesz niebios jasnem objawieniem,
Przed którem dzikie plemiona uklękną
Czcząc w tobie, boskie, nieśmiertelne piękno.

Piękność wystąpi jako nowa siła,
Co ponad żądzę zmysłową, namiętną,
Serca pokoleń będzie podnosiła
Kładąc pragnieniom szlachetniejsze piętno,
I wschodząc w ciała czystości dziewiczej
Krąg przeobrażeń przejdzie tajemniczy,
Aż w ludzkich uczuć i czynów dziedzinie
Wieczyste ducha piękności rozwinie.

WOBEC SFINKSA.

Józefowi Rostafińskiemu

Szukałem prawdy, strawiłem wiek cały
Na dochodzeniu tajemnych praw bytu...
Myśli me w ogrom gwiaździsty leciały
Po nieskończonej przestrzeni błękitu...
Przez słońc odległych tęczowe pożary,
Przez powstających mgławic pierwsze błyski,
Przez zamrożone i puste obszary,
Przez gwiazd cmentarze i światów kołyski,
Coraz to wyżej... i wyżej... i dalej...
Aż od eterów odbiły się fali,
Od wiecznej nocy, co w przepaściach drzemie
I powróciły bezsilne na ziemię.

Do wnętrza ziemskiej zstępowałem bryły
Przez chaotycznie rzucone pokłady,
Gdzie swe pieczęcie i tajemnic ślady
Wieki przewrotów i wstrząśnień wyryły,
I te kamienne łamiąc sarkofagi,
W których się całe epoki zawarły,

Chciałem wydobyć trup przeszłości nagi,
Zawezwać świadki, które dawno zmarły,
Więc skamieniałe wskrzeszałem rodzaje,
Więc odtwarzałem dawne krajobrazy,
Słupy zieleni i bezlistne gaje,
W których potworne gnieździły się płazy,
Dzikie fantazye pierwotnej natury
Wylęgłe w zbytku ciepła i wilgoci,
Łabędzie gadów, skrzydlate jaszczury,
Ulatujące nad lasem paproci.

I coraz mglistsze śledziłem widoki
Na pękającej chwiejące się korze,
Ciężkie, przy ziemi wiszące obłoki,
Wysepki lądów i bagniste morze...
I tak wstecz idąc od grobu, do grobu,
Do ognistego wreszciem doszedł globu,
Który na moje pytania bez końca
Znów mnie odesłał na odległe słońca!

Gdziekolwiek swoje obróciłem oczy,
Ruchliwą falę widziałem w obiegu,
Która przez wieki pianę zjawisk toczy,
Do nieznanego wiecznie płynąc brzegu.
Widziałem światy jak pędzą w przestrzeni,
Na swojej osi tocząc się ukrytej,
Wraz z księżycowych opaską pierścieni,
Które ze sobą unoszą w błękity.

Widziałem wszechświat w nieustannym wirze
Rozkołysany, jak lutnia drgająca,
Po której strunach światło leci chyże,
I falą ciepła pierś ziemi potrąca.
Widziałem wodę, jak płynie do morza,
I w mgły zmieniona na lądy opada,
I żłobi w skałach dla potoków łoża,
I twardy kamień kruszy i rozkłada,
Przygotowując wilgotne posłanie
Dla mchu, lub pleśni, co zwolna powstanie.

Widziałem prądy powietrznych orkanów,
I w błyskawicach bijące pioruny,
Wstrząśnienia lądów, wybuchy wulkanów,
I zórz północnych zakrwawione łuny.
Widziałem wszystkie żywioły tej ziemi,
Jak się nawzajem potrącają w biegu,
Jak wybuchają ogniami złotemi,
I w nowych zjawisk powstają szeregu;
Jak się spychają... i cisną... i wiążą...
W powiewne pary, lub bryły granitu,
I razem w bezmiar nieskończony ciążą,
Ważąc się wiecznie na szali błękitu...
Więc chciałem schwycić te ukryte siły,
Co krąg wszechświata w wieczny bieg wprawiły.

Ale naprożno wyciągałem dłonie,
By je ułowić na przyrody łonie,

Próżnom chciał każdą wydzielić z wszechświata,
Aby przedemną stanęła skrzydlata
I w niewzruszone ujęta granice
Wypowiedziała bytu tajemnice.

Każda z nich wiecznie zmienna i ruchliwa
W inną się coraz przeradza i spływa...
I jak Proteusz postać swą odmienia,
Krąg niezmierzony przechodząc istnienia.
Wszystkie bez granic, końca i początku
Biegły się ukryć w tajemniczym wątku,
W drobnych cząsteczek drgającej tkaninie,
Co w nieskończoność faluje i płynie,
I ukazały na dnie istnień głuchem
Materyę, wiecznym ożywioną ruchem.

Więc chcąc za niemi dotrzeć do tej głębi,
Gdzie wir pierwotnych żywiołów się kłębi,
Począłem zwolna ziemskich ciał budowę
Na jej cząsteczki rozbierać składowe,
Które w swem wnętrzu tak jak większe bryły
Całe plejady drobnych światów kryły,
I rozłożone coraz bardziej związki
Na pojedyncze dzielić znów gałązki,
Po za widzenia i czucia granicą,
Jeszcze je dzieląc myśli błyskawicą,
Która wciąż biegła w nieskończoność, dalej,
Aż od eteru odbiła się fali...

I tak przedemną cały świat widomy
Na nieuchwytne rozprzągł się atomy,
Na mgłę bez kształtów, rozmiarów i treści,
W której prócz ruchu, nic się już nie mieści
I w tej ruchliwej nicości przeźroczu,
Ciał rzeczywistość zniknęła mi z oczu,
I świat materyi zagasł jako tęcza,
Co drganiom światła trwanie swe zawdzięcza.

WIECZNIE TO SAMO.

Wiecznie ta sama płynie zjawisk fala,
I wciąż obrazy odnawia te same,
Wiecznie jutrzenka swe ognie zapala
Z mgieł purpurowych tworząc słońcu bramę.

Wiecznie te same czary wiosna niesie,
Blaski i wonie, kwiaty i zieloność,
Te same chóry śpiewnych ptasząt w lesie,
Tę samą tęsknych pragnień nieskończoność.

Tą samą serca poją się rozkoszą,
I wiecznie snują nić tej samej przędzy;
Wiecznie te same skargi się podnoszą
Z ciemnej otchłani rozpaczy i nędzy.

A jednak jasność jutrzenki, wdzięk wiosny,
Ziemia i morze i niebios sklepienie,
Młodość, tęsknota i zachwyt miłosny,
Rozkosz i boleść, walka i zwątpienie,
I każda śpiewna kochanków rozmowa
Wiecznie jest nowa!

WY SIĘ SKARŻYCIE?

Wy ulubieńcy losu i wybrani!
Którym pogodne śmieją się błękity,
Wy się skarżycie, gdy wam stopę zrani
        Cierń pośród kwiatów ukryty.

Gdy wam zabraknie słodkiej szczęścia rosy,
I pierwszą gorycz przyniesie wam życie,
Na świat i ludzi i na swoje losy,
                Wy się skarżycie!

Zapominacie o swym dniu słonecznym,
I obejmując wszechświat w złorzeczeniu,
Bunt podnosicie przeciw prawom wiecznym,
                Przeciw istnieniu!

Lecz ci, co wzrośli w twardej z losem walce,
Wprzągnięci w jarzmo trudów i niedoli,
Ci nie zważają, że cierń krwawi palce,
        Nie myślą o tem co boli.

Chociaż w świat idąc pod nieszczęścia strażą,
Widzą, jak wszystkie nadzieje im gasną,
Ci nie złorzeczą, ani się nie skarżą
Na dolę własną.

Owszem, gdy znajdą po swym krwawym znoju,
Chwilę wytchnienia z wszystkich chwil najrzadszą,
Z błogiem uczuciem wiary i spokoju
W niebiosa patrzą.

JULIUSZOWI MIEN.

Omdlały rącze fantazyi loty:
Już na szczęśliwe wyspy nie płynie,
Aby odnowić ludziom wiek złoty
W czarów krainie.

Dzisiaj myśl ludzka schodzi pod ziemię,
Z trudem kamienne żłobi koryto,
By wydrzeć mocy, która tam drzemie,
Zdobycz ukrytą.

Przygasło dumnych pragnień zarzewie,
Sny bohaterstwa, marzenia chwały,
Wielkie natchnienia, w życiu i śpiewie
Zwolna przebrzmiały.

Dziś ludzkość trwożnie patrzy przed siebie,
Szukając nowej gwiazdy przewodniej,
I o codziennym rozmyśla chlebie
Dla tych, co głodni!

Żal nam stubarwnej tęczy, co blednie,
Cudownych marzeń, co blask swój tracą,
Lecz ludzie muszą prawdy powszednie
Zdobywać pracą.

Żal nam poezyi w pieśni i czynach,
I bohaterów żal nam pochodu,
Lecz ludzkość musi myśleć o synach
Ginących z głodu.

W NOC CZERWCOWĄ.

Ciepła, jasna noc czerwcowa,
Woń duszącą kwiatów śle.
Rozmarzony świat się chowa
W księżycowej, srebrnej mgle.

Przy kwitnącej siedząc lipie
Białych chmurek śledzę bieg,
Wietrzyk z góry na mnie sypie
Kwiatów śnieg.

Zwolna głowa na pierś spada
I zachodzi cieniem wzrok...
Rzeczywistość spływa blada
W poplątanych widzeń mrok.

Czyli czuwam, śnię lub marzę?
Nie poznaję dobrze sam,
Jakieś kwiaty, jakieś twarze
W oczach mam.

W piersiach dawnych wzruszeń dreszcze,
Dawne burze w sercu wrą...
Nie wiem, co jest prawdą jeszcze?
A co sennych marzeń grą?...

Czy musnęła czoło drżąca
Pieszczotliwa miękka dłoń?
Czy to nocny motyl trąca
Moją skroń?

Czy to przeszłość wstaje żywa?
Znanych głosów słodki chór
Smutną skargą mnie przyzywa?
Czy to w dali szumi bór?

Czy to w liściach twarz widziadła?
Czy księżyca promień drży?
Czy to rosa nagle spadła?
Czy też łzy?

KRĄG PRZEMIAN.

Dnia słoneczność, wiosny tchnienie,
Morza piany i błękity,
W jedno zlały się widzenie:
W cudną postać Afrodyty!

Wymarzona piękność ciała,
Nawpół boska, wpół kobieca,
Żądzom nowy polot dała,
Nieśmiertelną miłość wznieca.

A miłosnych pragnień siła
Ku zwycięskiej dążąc chwale,
W biegu swoim potrąciła
Różnorodnych uczuć fale.

Każda fala kręgi duże
Zataczając, rośnie... wzbiera...
I kochanków mirt i róże
W laur zamienia bohatera.

Sen rozkoszy, sen miłosny,
Choć go jedne serca prześnią,
Wraca na świat wdziękiem wiosny,
Blaskiem, wonią, barwą, pieśnią!

Zawiedzionych serc tęsknota,
Piękność, która z ciałem ginie,
Wschodzi w nowych dniach żywota,
W poświęcenia wielkim czynie.

To, co było czynem wczora,
Dziś jest pieśnią lub legendą,
A gdy nowa błyśnie pora,
Pieśni w czyn się zmieniać będą!

SAMOTNE WIDMO.

We mgle wieczornej usiadło
Samotne, blade widziadło,
Przy drodze koło cmentarza,
I wzdycha, płacze, narzeka,
I o niewdzięczność oskarża
Serce człowieka.

„Co robisz? — pytam — nad ziemią,
„Gdy inne widma już drzemią
„I żywych więcej nie trwożą?
„Jaka zgryzota cię budzi?
„I po co z wieczorną zorzą
„Wracasz do ludzi?"

„Co robię? pytasz, co robię,
Czy nie wiesz, jak straszno w grobie
W wieczystej zostawać nocy,
I widzieć, jak żywych tłuszcza
Grób nasz samotny, sierocy,
Bez łez opuszcza!"

„Ty nie wiesz, jak to, ach boli!
Gdy świat rozerwie powoli
Wszystkie serdeczne ogniwa,
I jak pierś naszą przygniata
Milcząca, zimna, wzgardliwa,
Niepamięć świata."

„Dlatego wstaję z mogiły
I dążę, gdzie dla mnie biły
Serca kochanków tysiąca...
Lecz choć wyciągam ramiona,
Każdy mnie z gniewem odtrąca
Od swego łona."

„Nic nie chcą wiedzieć już o mnie,
Choć przysięgali niezłomnie
Dochować miłość i wiarę;
Więc wracam i patrzę zdala,
Jak wszystkie wspomnienia stare
Unosi fala".

„Więc nie masz w świecie nikogo,
Któremu byłaby drogą
Twa pamięć, samotny cieniu?
Za jakie grzechy i winy
Przestałeś żyć już w wspomnieniu
Bratniej drużyny?"

„Ach, serce ludzkie tak zmienne!
Dawszy mi łoże kamienne,
Cień zapomnienia głęboki
Nad grobem mym rozpostarło...
Choć jestem całej epoki
Myślą umarłą“.

TA ŁZA...

Ta łza, co z oczu twoich spływa,
Jak ogień pali moją duszę,
I wciąż mnie dręczy myśl straszliwa,
Że cię w nieszczęściu rzucić muszę.

Że cię zostawię tak znękaną,
I nic z win przeszłych nie odrobię.
Ta myśl jest wieczną serca raną,
I ścigać będzie jeszcze w grobie.

Myślałem, że nim rzucę ziemię,
Twych nieszczęść szala się przeważy,
Że z ramion ciężkie spadnie brzemię,
I ujrzę radość na twej twarzy.

Lecz gdy los na to nie dozwoli,
Po cierniach w górę wciąż się wspinaj,
A choć winienem twej niedoli,
Miłości mojej nie przeklinaj!

PRZYCHODZISZ DO MNIE...

Przychodzisz do mnie, nie mówisz nic,
Lecz ukazujesz swe rany,
Śmiertelną bladość zmartwiałych lic,
I całun krwią twą zbryzgany!

Zatapiasz we mnie żałosny wzrok,
Co w pierś mi wbija swe ostrze,
Aż grozę śmierci, nicestwa mrok
Nademną wkoło rozpostrze.

W duszę mi spływa rozpacz i wstyd,
I cała konania męka...
I potępieńców ściga mnie zgrzyt...
I serce z bólu mi pęka!

W OBIEGU.

Ludzkość w swoim obiegu słonecznym
Miewa także pełne mroku dnie,
W których prawom podległa odwiecznym,
Mniejszą siłą żywotności tchnie.

Miewa swoją chłód niosącą jesień,
W której stygnie dawnych uczuć żar,
Gaśnie płomień namiętnych uniesień
I swą jasność traci życia dar.

Otrząśnięty po ziemi się wala
Przeszłych dążeń idealny kwiat,
Rwącej myśli nie przybiera fala
I lodowych nie przerywa krat.

Pierzchły marzeń tęczowe motyle,
W gajach umilkł wdzięczny przedtem śpiew,
I nadzieje w pełnej niegdyś sile,
Jako liście opadają z drzew.

Zewsząd słychać skargi rozpaczliwe..
Zapóźniony dawnych czasów widz
Mniema, patrząc na zmrożoną niwę,
Że już na niej nie powstanie nic;

Że serc ludzkich nic już nie poruszy,
Że kwiat uczuć ani myśli kłos
Nie wystrzeli z głębi ludzkiej duszy
I nie zabrzmi świeżej pieśni głos;

Że nie będzie już światła, ni ciepła
I zagaśnie nawet święty Znicz,
I że ludzkość, co w mrokach oślepła,
W ludożerców zamieni się dzicz.

Lecz gdy właśnie najwięcej się szerzą
Smutne wróżby, niewiadomo skąd,
W skrzepłe serca niesie wiosnę świeżą
Niewidzialny a cieplejszy prąd.

Myśl ożywcza nagle znów wystrzeli,
Jak nieznany pojawi się bóg,
I odnajdzie namiętnych czcicieli,
Szukających nowych życia dróg.

Znowu zapał pierś ludzkości grzeje,
Znowu jasność opromienia świat,
Nieśmiertelne znów wschodzą nadzieje
I zakwita ideału kwiat!

I pieśń świeża dźwięczy znów i rośnie,
Odnajduje utraconą moc,
Głosząc sercom bijącym radośnie,
Że już przeszła smutnej zimy noc.

GŁOS WOŁAJĄCY NA PUSZCZY.

Czasami doleci z burzą
Do uszu bezmyślnej tłuszczy,
Do wodzów, co kłamstwu służą,
Głos wołający na puszczy.

Grozą przenika ich serca;
Nie jeden porzuca łoże,
Drży, jak schwytany morderca,
Lecz przestróg pojąć nie może.

Niezrozumiałym jest dźwiękiem
Głos wołający w pustyni,
Śpią dalej na łożu miękkiem...
I nikt pokuty nie czyni.

ŚWIAT SIĘ OGNIAMI ZAPALA...

Świat się ogniami zapala
Do wnętrza swego wstrząśnięty;
Burzliwa wezbrała fala
I z rykiem leci w odmęty;
Bóg dzikie rozkiełznał siły,
Więc będą z sobą walczyły.

Powstaje w ogniu i dymie,
Co dotąd kryła noc głucha;
Jakieś widziadła olbrzymie
Rwą się ze swego łańcucha:
Z otchłani podnoszą głowę,
Znów na śmierć walczyć gotowe.

W powietrzu pełno okrzyków,
Pobudka brzmi już straszliwa;
Zwycięzców i niewolników
Krwawe szaleństwo porywa;
Choć nie chcą, wściekłość i nędza
Tłum cały naprzód popędza.

W przeczuciu groźnych przewrotów
Strwożone zbroją się ludy,
Czują, że runąć im gotów
Ów gmach społecznej obłudy,
A wszystkie święte przymierza
Krew ofiar zaleje świeża.

Czują, że tajna potęga
Nurtując ziemię do gruntu,
Dawny porządek rozprzęga,
Podnosi chorągiew buntu,
I wszystkie przeszłości ślady
Chce zrównać pługiem zagłady.

Więc wiedzą, że bronić muszą
Całej dziejowej zdobyczy,
Przed własną zatrutą duszą,
Przed nowym najazdem dziczy,
By choć ocalić z rozbicia
Podstawy przyszłego życia.

MŁODOŚCI SEN.

Młodości sen, uroczy sen
Roztacza krąg cudownych scen,
Wśród których walczym na przedzie,
    I złotem lśniąc,
    Szlachetnych żądz
W kraj bohaterstwa nas wiedzie.

Z młodości mar, skrzydlatych mar,
Tak szybko złudny znika czar,
Tak mało życie nam ziszcza!
    Topnieje w łzach
    Fantazyi gmach,
Zostają gruzy i zgliszcza!

ZMIERZCH MELODYI.

Śpiewnej melodyi słodycze,
Wpółsenne pienia słowicze,
Serc silniej nie wzruszą już:
Na gruzach wiary dziecięcej,
Duch ludzki pożąda więcej
Wśród walk i burz.

Nie dość mu tkliwych pobudek:
Róż zwiędłych i niezabudek,
I szmeru srebrzystych strug,
Lecz żąda, by w męskiej nucie
Dźwięczało głębsze odczucie
Duchowych dróg.

Trzeba mu w pieśni odbicia
Tej walki o prawdę życia,
Co z niebem rozpoczął wieść,
Prawda dlań teraz najświętsza,
Więc chce przeniknąć do wnętrza
Istnienia treść.

Te, co nęciły go wprzódy,
Bańki tęczowej ułudy,
Straciły dawniejszy czar;
W chciwej za światłem pogoni
Od błędnych ogników stroni
I nocnych mar.

Myśl niespokojna nań czyha
Na dnie rozkoszy kielicha
I z kwiatów odrywa wzrok;
Nawet miłosne marzenia
Bezmiarem swoim ocienia
Zaziemski mrok.

Wszędzie go ściga myśl: po co
Z nieznaną ściera się mocą,
Z potęgą, co wiecznie trwa?...
I czemu serce ogarnia
Nieskończoności męczarnia,
Pod którą drga?...

CHOĆ PÓL I ŁĄK.

Choć pól i łąk
Odmładzasz krąg,
Roznosząc woń miłosną,
Nie wrócisz mi
Młodości dni,
O czarodziejko, wiosno!

Nie wskrzesisz złud,
Pojących wprzód
Zachwytem serce moje,
Nie dla mnie już
Rumieńce róż
I świeżych uczuć zdroje.

Więc z czary twej
Dla innych lej
Rozkoszy słodkie miody,
Niech z twoich szat
Rwie cudny kwiat
Kochanków zastęp młody.

Mnie tylko daj!
Szumiący gaj
Nad moją głową senną ..
I otocz mnie
W głębokim śnie,
Miłością dusz promienną.

WIECZYSTE PIĘKNO.

Stanisławowi Krzemińskiemu

Wieczyste piękno daremnie dla ślepych
Roztacza wkoło barw i blasków przepych;
Daremnie jasne promienie, jak gońce,
Posyła ziemi to duchowe słońce,
Gdy niema oczu, którym światła promień
Mógłby otworzyć drogę uwidomień,
I ponad błotem skrwawionych trzęsawisk,
Ponad prądami mijających zjawisk,
Ukazać bytu zdrój słoneczny, złoty,
Przenikający kolejne żywoty,
I ciągły przypływ tej świetlanej fali,
Co łańcuch istnień wiecznie doskonali.

Lecz chociaż dotąd jeszcze ziemskie rody
Nie widzą wyższej harmonii i zgody,
I błądzą w cieniu bezsłonecznych krain,
Z piętnem przekleństwa, jakie nosił Kain:
To wciąż powoli istniejąca siła
Potrzebne zmysły będzie im kształciła.

I tak, jak niegdyś pod fal światła wpływem,
Ślepy twór na świat błysnął okiem żywem,
Tak ślepa ludzkość w przyszłości zdobędzie
Do wyższych zadań konieczne narzędzie.

A gdy do światła otworzy swe oczy,
Ze wstrętem spojrzy na krew, co ją broczy,
Na posiew zemsty, który się odnawia
Z ziarn jadowitych krzywdy i bezprawia;
Na barbarzyństwa szalejący nierząd,
Co świat napełnia walką dzikich zwierząt;
Na źródła szczęścia zatrute tak marnie
Przez dobrowolnie stwarzane męczarnie...
Spojrzy ze wstydem i, jak z snu zbudzona,
Ku czystym blaskom wyciągnie ramiona,
I pokieruje swoje przyszłe dzieje,
Gdzie piękno, dobro i prawda jaśnieje...

MEMNON.

PP Trojackim

Niedaleko oceanu wybrzeży,
W cichej grocie, gdzie się jutrznia zwykła kryć,
Ranny Memnon na wilgotnych mchach leży,
I nie może umrzeć, ani żyć.

Co noc Eos nim wybiegnie w niebiosa,
Tam przychodzi nad swym synem ronić łzy,
I na chwilę macierzyńskich łez rosa
Z jego czoła spędza ciężkie sny.

Wtedy rwie się z jego piersi zbolałej
Cichej skargi melodyjny, smutny ton,
Przypomina dni wielkości i chwały,
I swej matce tak się skarży on:

„Czemuś ty mi wyprosiła o matko!
„Tego trwania pośmiertnego straszny dar?
„Żem pozostał dla podziemnych zagadką,
„A dla żywych jedną z próżnych mar.

„Po co było żądać dla mnie u bogów
„Świadomości, z której płynie tylko ból,
„Po co było zatrzymywać u progów,
„Gdym miał odejść do szczęśliwych pól?

„Lepiej było wraz z cieniami innemi
„Naraz stracić całą pamięć ziemskich dni,
„Niż pozostać nawpół martwym na ziemi,
„Z sercem, które o przeszłości śni.

„Co mi z tego, żem przechował zamkniętą
„Skrę żywota przez tę długą grobu noc,
„Gdy mi wszystkie jego dary odjęto:
„Dzielność, chwałę i królewską moc!

„Każdy może mnie znieważać bezkarnie,
„Może śmiało bezwładnego deptać lwa...
„A ja muszę znosić wszystkie męczarnie,
„Bo tak chciała, matko, miłość twa!"

Na to Eos z macierzyńską pieszczotą:
„Synu — rzeknie — biedny synu mój!
„Znosić musisz taki smutny los po to,
„Byś mógł powstać na ostatni bój.

„Przeznaczenie próśb daremnych nie słucha,
„Wszystko trzeba okupywać nam,
„Trzeba w grobie zdobyć nową moc ducha
„Chcąc do życia znów powrócić bram".

NAD PRZEPAŚCIĄ.

Z przepaści ciemne widmo wstało...
I na urwisku stromem
Wędrowca w drodze zatrzymało
Bezkształtnym swym ogromem.

Przyszło go trwożyć groźną mocą,
Co ludzkie serca gnębi,
Unicestwienia głuchą nocą,
Próżnią bezdennej głębi.

I zasłoniwszy błękit, rzecze:
„Nic ciebie nie ocali,
„Z tego rozdroża o człowiecze,
„Już niema wyjścia dalej!

„Próżno na przekór twardym losom
„Zmierzałeś wciąż do szczytu
„I próżno chciałeś kraść niebiosom
„Zagadkę swego bytu.

„Szalona pycha ciebie zwiodła,
„Myślałeś, że bez końca
„Będziesz nieść w górę ludzkie godła,
„Do prawdy zdążać słońca.

„Wiedz, że nie może nikt bezkarnie
„W bezdenną toń spozierać...
„I musisz wszystkie przejść męczarnie,
„I zwątpić... i umierać...

„To światło, z którem dumnie kroczysz
„Na to ci tylko służy,
„Byś ujrzał przepaść, gdzie się stoczysz
„Na końcu swej podróży.

„Tem światłem mar uroczych roje
„Spłoszyłeś na swej drodze,
„Uniosły z sobą szczęście twoje...
„A za to ja przychodzę.

„Na miejsce jasnej ich gromady,
„Co pierzchła już skrzydlata...
„Przybywam jako cień zagłady
„I wiecznej nędzy świata“.

A człowiek na to: „Marny cieniu,
„Coś postać wziął olbrzyma,
„Idę ku swemu przeznaczeniu,
„I nic mnie nie zatrzyma.

„Do góry, naprzód, wciąż przez wieki,
„Z tem światłem, co mi dano,
„Muszę w przyszłości kraj daleki
„Za jutrznią biedz różaną.

„Muszę zdobywać krok za krokiem,
„Zdążając wiecznie za nią,
„Na stromych ścieżkach walczyć z mrokiem
„I chwiać się nad otchłanią.

„Niejedne widma przychodziły,
„By wieść mnie na bezdroże,
„Niejeden sen mnie wabił miły
„Na kwiatów miękkie łoże.

„Spędziłem wszystkie mary piękne,
„By prościej iść do celu,
„I ciebie teraz się nie zlęknę
„Posępny kusicielu.

„I ty ustąpić musisz z drogi:
„Zwodnicza twa potęga!
„Po nad nicestwa ciemne progi
„Duch ludzki wyżej sięga!"

PRZODOWNIKOM.

Słudzy prawdy i prawdy czciciele,
Kochankowie Izys zasłoniętej!
Wam się godzi wzrok zatapiać śmiele
W ciemnych głębin kuszące odmęty.

Wam, dążącym wciąż do światła, w górę,
Na rozdrożach zabłąkać się wolno,
Schodzić na dół, w przepaści ponure,
I pierś krwawić wędrówką mozolną.

Choć się który w podziemia zapuści,
Tracąc z oczu jasny strop błękitu,
Wyjdzie cało z straszliwej czeluści
I podąży znów dalej do szczytu.

Wy możecie zstępować bez trwogi,
Gdzie noc, groza i zwątpienie mieszka,
I piekielne nie zwiodą was bogi,
Bo do światła wiedzie wasza ścieżka.

Lecz gdy macie wieść za sobą tłumy,
Których myśli biegły dotąd nisko,
Nie szukajcie w tem dla siebie dumy,
Że umiecie kroczyć przez urwisko.

Nie prowadźcie na spadziste tory,
Gdzie się czasem nawet mężni chwieją,
A gdzie lud ten zmęczony i chory,
Raz na zawsze żegna się z nadzieją;

Nie wskazujcie tej bezdennej próżni,
Po nad którą stopa się zawiesza...
Jej widoku nie zniosą podróżni,
I nie zdoła przejść bezkarnie rzesza.

Więc jak dobrzy czynią przewodnicy,
Grunt im twardy ukażcie pod nogą,
I oparcie dla trwożnej źrenicy,
Aby w drodze nie zgubić nikogo!

FRESK POMPEJAŃSKI.

Zielone, wonne gaje rozsiadły się wkoło,
Po uroczych pagórkach zbiegając w doliny;
Gdzieniegdzie dąb lub kasztan podnosi swe czoło,
Po nad drobniejsze mirty, laury i jaśminy.
Łagodnie pluszczą źródła skryte gdzieś w zieleni,
I z melodyjnym szmerem z skał ściekają dalej,
Srebrzystym wężem migną wśród łomu kamieni
I pod sklepieniem dębów w cichej płyną fali.

W powietrzu pełno woni, ciepła, barw i blasku,
I błękit przesiąknięty tem światłem gorącem,
Zda się lśnić niby pyłkiem złocistego piasku,
I tęczowych iskierek połyskać tysiącem.
W tem ciepłem oświetleniu żywa drzew zieloność
Przyjmując połysk złoty na szmaragdy swoje,
Harmonijnie w błękitną spływa nieskończoność.
Gaje, błonia i wzgórza, i przejrzyste zdroje,
Pełne uśmiechu szczęścia i rozkoszy dreszczu,
Wdzięczą się jak Danae w złotym bóstwa deszczu.

Wszystko płynie weselem, wszystko tchnie rozkoszą,
Czarem młodego życia i wiośnianych rojeń.

I miłosne marzenia pierś ziemi podnoszą
Żądzą namiętnych wzruszeń i słodkich upojeń.

Różowo płoną laury, mirty pruszą śniegiem
Delikatnego kwiecia, które wietrzyk strąca,
I wstydliwie szeleszczą ponad wody brzegiem,
Gdy pierś białą odsłoni Najada płynąca.

Na głazie zarośniętym jedwabistą pleśnią,
W cieniu starych kasztanów siedzi Pan rogaty:
Uciesznc bóstwo lasów, i weselną pieśnią
Wypełnia rozbawione, szalejące światy.
Kosmate koźle nogi podwinął pod siebie,
I uwieńczon różami w flet zawzięcie dmucha,
A śpiew płynie po ziemi, po wodzie i niebie,
I kwili, wzdycha, pieści i miłośnie grucha,
Aż sam Pan upojony własnych brzmień słodyczą,
Twarz przekrzywia podziwem i muska swą brodę,
Patrząc się jak artysta z miną tajemniczą
Na pląsające Nimfy nadobne i młode.
Te przywabione pieśnią wybiegły z ukrycia,
I tańczą lotną stopą po miękkiej murawie...
Szał tańca i pustoty, czar wiosny i życia
Ogarnia tancecznice. W rozkosznej postawie
Z wzburzoną piersią w błękit rzucone świetlany,
Wzlatują rozpuściwszy na wiatr włosów sploty,
I drażnią skryte w mirtach Fauny i Sylwany,
I omdlewają z zbytku namiętnej pustoty.

W WALCE O BYT.

Tyle nasion spotyka zagłada,
Tyle kiełków wschodzących marnieje,
Tyle pączków przedwcześnie opada,
Najpiękniejsze budzących nadzieje.

Usychają młode latorośle
Zanim stanąć zdążyły w rozkwicie,
Dumne kształty, co zeszły wyniośle,
Upadają wśród walki o życie.

Giną w męce rody i plemiona,
Choć walczyły z męztwem bohatera...
Mnóstwo pragnień nieziszczonych kona,
Mnóstwo uczuć bezpłodnie umiera.

Wszędzie ciężka na byt dalszy praca,
Wszędzie walki groza i męczarnia,
Która w niwecz zwycięstwo obraca,
I ofiary w ciemną przepaść zgarnia.

I odwieczne nie troszczą się moce:
Co przez chwilę na fali wypłynie?
Co zatonie w zagłady pomroce?
I co zejdzie na świeżej ruinie?

Nie pytają: kto doznał rozbicia?
Kto się w gnieździe rozsiada zdobytem?
Byle tylko rwący strumień życia
Płynął dalej wezbranem korytem.

Byle tylko zorany przez klęski
Grunt dla nowych zasiewów był gotów,
I kształt nowy, co wyjdzie zwycięzki,
Wyżej poziom podnosił żywotów.

F A L E.

Na morza wzdętej toni
Wciąż fala falę goni,
Wzbierając z szumem pędzi,
Srebrzystą pianą wrząca,
W podskokach się roztrąca
Na ostrej skał krawędzi;

Lub tocząc na brzeg płaski
Błyszczące, mokre piaski,
Kamyczki i muszelki,
Zamiera z dźwięcznem echem,
Zanim ją swym oddechem
Ocean wciągnie wielki.

I żadna z nich nic nie wie
W bezsilnym swoim gniewie,
Do jakich celów służy,
Lecz powracając ginie
W bezdennej wód głębinie,
Po krótkiej swej podróży.

Jednak ich ciągła praca
Skalisty brzeg wywraca,
Zmienia koryta prądów,
Pochłania ziem przestworza,
I nowe wznosi morza,
I rzeźbi postać lądów.

Pokoleń smutna fala
Podobnie się użala
Na marność swych zabiegów:
Że tak bez śladu tonie,
W wielkiej całości łonie
Odbita z ziemi brzegów.

Widocznych śladów mało
Po każdej pozostało,
I dumne jej zamysły
Odparte w swoim pędzie
Przez ostre skał krawędzie,
Jak piana nagle prysły.

A przecież siła żywa
Wiążąca ich ogniwa
Przez długie lat koleje,
Z pokoleń w pokolenia
Ludzkości postać zmienia,
I rzeźbi świata dzieje.

FANTAZYA LUDÓW.

Fantazya ludów nieraz daje życie
I stwarza mężów, którzy nie istnieli,
W dziejach ich kształty rzeźbi jak w granicie,
I taką mocą duchową obdzieli,
Że choć ich postać i czyny legendą,
Pełniej i trwalej od innych żyć będą.

Daremnie potem dziejów badacz ścisły
Chce legendową przywrócić im rolę,
Widząc w nich tylko fantazyi pomysły,
Słoneczne mity, lub wierzeń symbole;
Próżno te cienie chce pozbawić ciała,
W które je wieków tradycya ubrała.

DZIEŃ WCZORAJSZY.

Piotr teraźniejszość wyklina,
Wszyscy gniewają go ludzie:
Gniewa zalotna dziewczyna
I piesek, co szczeka w budzie.

Gorszą go nowe kierunki,
Potępia działalność cudzą,
Dzieci na łonie piastunki
Już jego odrazę budzą.

Wszędzie zepsucie go ściga,
Próżno sam stoi na straży,
Zwycięża w świecie intryga
Żydów i Wolnych mularzy.

Zalewa ziemię wokoło
Rozpusty bezwstydny cynizm,
Jak hydra podnosi czoło
Socyalizm i jakobinizm.

Znikąd nie widać pociechy,
Więc przepowiada narodom,
Za wszystkie tych czasów grzechy,
Los straszny biblijnych Sodom.

„Dawniej, to wspomnieć aż miło,
„Nic nie kosztował nas najem,
„Wszystko się samo robiło
„I życie było, ach, rajem.

„Podatków nie gniotło brzemię,
„A pan spokojnie sprzedawał
„Jeśli nie całą swą ziemię,
„Przynajmniej dobry jej kawał.

„Moralność kwitła na dole...
„I niższa narodu warstwa
„Kornie znosiła niedolę
„Szukając w modłach lekarstwa.

„Nie było pokusy próżnej,
„Każdy się godził z swym stanem,
„Kto żebrak, ten żył z jałmużny,
„A pan — ten zawsze był panem.

„Nauki zgubnego jadu
„Nikt w dusze ludzkie nie szczepił,
„Zepsucia nie było śladu,
„Najwyżej, wioskę kto przepił“.

Tak się wciąż skarży i zżyma
I biada poczciwa dusza,
Aż przywdział ubiór pielgrzyma
I w drogę po nocy rusza.

Śród nocy, ciemno troszeczkę,
Więc w błocie kosturem grzebie,
Zapalił łojową świeczkę
I pilnie patrzy przed siebie.

„Gdzie idziesz? — pytam — człowiecze,
„Czy szukasz po nocy czego?“
A on mi z dumą odrzecze:
„Ja szukam dnia wczorajszego“.

„Jak sądzę, daleko zajdziesz,
„Pospieszaj zatem jegomość,
„A jak wczorajszy dzień znajdziesz,
„Przyślij mi pocztą wiadomość“.

NIE BAJKA.

Spadł z drzewa topoli pączek
I płynie z potoku pianą,
Na nim sieć osnuł pajączek,
Czyha na muszkę schwytaną.

Próżno się z więzów wyrywa
I targa sprężyste nici,
Gdy się wysunie wpół żywa,
Pająk w objęcia ją chwyci.

Zwolna ją dusi i gnębi,
Zanim śmiertelny cios zada,
A pączek płynie ku głębi,
Gdzie nurt potoku w dół spada

I wkrótce po muszki klęsce,
Gdy się już więcej nie broni,
Z ofiarą razem zwycięzcę
Wir wodny pogrążył w toni.

SZTUCZNE KWIATY.

Fabrykacya sztucznej flory
Z wielką prawdą dziś oddaje
Roślinnego świata wzory
I odmienne ich rodzaje.

Każdy nawet kwiat najrzadszy
Naśladuje zręcznie sztuka,
Kto się dobrze nie przypatrzy,
Bardzo łatwo się oszuka.

I w poezyi wdzięcznych kwiatach
Wzmógł się przemysł, gdyż je sztucznie
Wyrabiają na warsztatach
Wyzwolonych kunsztów ucznie.

Odtwarzają nader wiernie
Układ, barwę i kształt wszelki,
Płatki koron, listki, ciernie,
Nawet lśniące ros kropelki.

Pierwszorzędnych firm wyroby,
Posiadając wiele zalet,
Służyć mogą do ozdoby
Salonowych dam toalet.

Fabrykaty mocne, tanie,
Pełne smaku i świeżości,
Zasłużyły na uznanie
Eleganckiej publiczności.

Znaczny zapas jest do zbycia
Doskonałych tych towarów.
Nic im nie brak... oprócz życia
I poezyi słodkich czarów!

ŻABY.

Żaby, jak to wiadomo, lubią siedzieć w bagnie,
Choć która zeń wyskoczy, zaraz wracać pragnie;
Więc choć są zniewolone czasem do podróży,
Zawsze na nocleg trafią do jakiej kałuży,
A wróciwszy do siebie powiedzą z prostotą:
Że w całym świecie wszędzie jednakowe błoto.

Są ludzie, co tak samo wydają wyroki,
Że kałużą zepsucia cały świat szeroki,
I że wszędzie, gdzie spojrzeć, wysoko, czy nizko,
Trzeba zawsze jednakie napotkać bagnisko.
Lecz ja, kiedy usłyszę te skargi rozpaczne,
Zaraz surowych sędziów podejrzywać zacznę,
I myślę sobie w duchu: Ci pewnie z ochotą,
Jak żaby, lubią wszędzie wyszukiwać błoto.

WIELKIEMU CZŁOWIEKOWI.

Jesteś wielkim człowiekiem, bądź nim, gdzie należy,
Lecz do śmiertelnych przychodź w zwyczajnej
[odzieży,
Bierz za przykład Jowisza, co choć gromowładny,
W dom śmiertelnych przychodził grzeczny i układny,
Nie chcąc zbyt żywym blaskiem olimpijskiej chwały
Razić biednej ludzkości wzrok niedoskonały.
Więc i ty, kiedy schodzisz w towarzystwo ludzi,
Nie bierz ze sobą gromu, który postrach budzi,
Nie przynoś orlich spojrzeń, tytanicznych postaw,
Lecz wielkość z kaloszami w przedpokoju zostaw!

UMYSŁ MĘDRCA.

Głęboki umysł mędrca, z swojego ogniska
Jak brylant różne barwy i odblaski ciska,
A chociaż wciąż się mieni w barwnej świateł zorzy,
Z pojedynczych odblasków harmonia się tworzy.

Umysł pedanta na kształt brukowych kamieni,
Tęczowemi barwami nigdy się nie mieni,
I w tem dumę pokłada, że wciąż jednej miary,
Zawsze jest jednostajny, bezbarwny i szary.

PRZYCZYNOWOŚĆ.

Nasz rozum ułatwiając poznanie zagadki,
Wiąże następujące po sobie wypadki,
I związek zależności przeprowadza ścisły
W szeregu, co najbliżej podpada pod zmysły.
Więc o zjawiskach twierdzi w dochodzeniu krótkiem,
Że jedno jest przyczyną, a drugie jest skutkiem.
Szukając zaś przyczyny, często nasza wiedza
Bierze za nią fakt błahy, co skutek poprzedza,
I gotowa nauczać, że sprawcą niepogód,
Był piejący przed deszczem na podwórzu kogut.

III.

Z TEKI POŚMIERTNEJ. [1]

[1]) Wszystkie zawarte w dziale tym wiersze nie były dotychczas ujęte żadnem z wydań zbiorowych poezyi Asnyka. Jedne z nich, drukowane w czasopismach, głównie w *Nowej Reformie* i *Kuryerze Warszawskim*, począwszy od roku 1895, aż do ostatniej choroby poety, złożyłyby się niewątpliwie z czasem na tom 5-ty jego utworów poetyckich; inne, drukowane w latach dawniejszych, nie zostały przez poetę dla różnych powodów wcielone do żadnego z ułożonych przez niego samego 4-ech tomów jego Poezyi; inne wreszcie zostały ogłoszone po śmierci poety.

TRZY PIERWIOSNKI POETYCKIE.

I.

Z POWINSZOWANIEM IMIENIN
DNIA 31. GRUDNIA 1850 R.

Ty, co się w miejscu Ojca nami opiekujesz,
    Co młodociane serca do dobra kierujesz,
Co zasiewasz je wiarą, tak jak ziarnem pole,
    Wypleniasz złe nałogi, jak szkodne kąkole,
Kształcisz umysł nauką, szczepisz wiadomości,
    Obudzasz wszystkie władze, co były uśpione;
Przyjm w dowód mojej nigdy nie zgasłej
                    [wdzięczności
    Życzenia proste, serca popędem wiedzione [1]).

[1]) Jest to pierwszy z zachowanych wierszy Asnyka. Napisany został w 12-tym roku życia poety, w Kaliszu, na uroczystość imienin kierownika pensyonatu.

II.

Choć me miano jest zniszczenie,
Choć zgnilizna godłem jest,
Ja wam, matka przez cierpienie,
Pożegnalny daję chrzest.

Ja wam otworzę ramiona
Po ciężkiego życia znoju,
U mnie, u mojego łona,
Zakosztujecie spokoju.

Temu, co złamany życiem,
Z życia musiał gorycz snuć,
Rozkażę, a z serca biciem
Przestanie boleć i czuć.

Tego, co z myślą zatrutą
Jak z sępem, co piersi porze,
Z duszą do ciała przykutą,
Co więzów stargać nie może,

Tego wolnością uwieńczę,
Kiedy skruszę gliny złam,
I za cierpienia młodzieńcze
Całą nieśmiertelność dam.

Kiedy kwiat cudownej woni,
Co żyje słońca promieniem,
Więdnieje w jakiej ustroni,
Zakryty obszernym cieniem,

Ja go przesadzam na miedzy:
I kwiat, wyszedłszy z mych dłoń,
Na rajskich promieniach wiedzy
Wydaje swą piękną woń [1]).

[1]) Wierszyk ten skreślony na brulionie zadań łacińskich, pochodzi z r. 1853, z czasów szkolnych poety.

III.

CIENIOM MALCZEWSKIEGO.

Czy ty słyszysz, Antoni, z pod ciemnej mogiły,
Jaki poszmer twa Marya uczyniła w świecie?
Jak lutni twojej struny w sercach zadzwoniły,
Z jaką czcią na twój całun usypujem kwiecie...

Czy ty słyszysz, jak dumna z Ciebie Ukraina?
Czoło wielkich swych wieszczów twymi wieńczy
[ślady,
I jak śmiało do walki wyzywa Litwina,
I jak śmiało plac trzyma z Konradem i Dziady?

Patrzący cieniu wielkiego śpiewaka,
Przyjm od rodaków cześć i uwielbienie,
Gdyż one w sercu każdego Polaka
Tak świecić będą, jak słońca promienie;
A przyszłość, arcydziełem twojem zadziwiona,
Przyciśnie tęskną Maryę do ciepłego łona.

1855—1857.

OŚWIADCZYNY.

Wziął frak na siebie, rękawiczki nowe,
Stanął przed lustrem przyjrzeć się krawatce,
Z dumą nałożył kapelusz na głowę
I rzekł: „Dziś trzeba oświadczyć się matce.
Matka mój talent umie sobie cenić,
Panna mi sprzyja... trzeba się ożenić!“

„Nie mogę żywić najmniejszej obawy:
Mile widziany byłem od początku,
Mam przecież dużo, bardzo dużo sławy
I wiele zalet... wprawdzie nic majątku,
Lecz czyż ten kruszec ma stać na przeszkodzie
Sercom, co biją w idealnej zgodzie?“

„O pana nawet trwożyć się nie warto,
Stracił biedaczek w domu władzę wszelką:
Pani rzecz główna... a ta jest zażartą,
Stałą talentu mego wielbicielką.
Wszak rzekła, prac mych dokończywszy tomu:
„Jakie to szczęście miewać pana w domu!“

Skończył monolog i pobiegł ulicą,
Pełen otuchy, nucąc jakąś śpiewkę,
I już przed znaną stanął kamienicą,
Gdy nagle dostrzegł rozdartą podszewkę...
Lecz nie chciał czasu tracić, a więc tylko
Rozdarte miejsce zręcznie zapiął szpilką.

Zastał, jak pragnął, i córkę, i matkę,
Siedzące obie w swoim saloniku,
Panna robiła właśnie jakąś siatkę,
Pani bębniła palcem po stoliku,
Tonąc w zadumie; lecz choć zadumana,
Spostrzegłszy gościa, rzekła: „Witam pana.“

Usiadł na krześle i zaczął rozmowę,
Lecz się zająknął zaraz na początku,
I chociaż piękną przygotował mowę,
Nie mógł odnaleść swoich myśli wątku,
I coraz bardziej plątał się, rumieniąc,
Jakby przeczuwał: co to znaczy pieniądz.

Pani na niego patrzała z zdziwieniem
I coraz większą przybierała godność;
Panna go także mierzyła spojrzeniem,
A choć w jej wzroku mógł dojrzeć łagodność,
Nic nie pomogło: matki dostojeństwo
Ciężyło nad nim ciągle, jak przekleństwo.

Czuł, jak pod owym wzrokiem przenikliwym
Całą swą wielkość traci poetyczną;
Czuł, jak jest małym, nędznym, nieszczęśliwym,
A ona wielką i majestatyczną;
Więc opuściwszy wstępy i prologi,
Na oślep matce rzucił się pod nogi.

„Ja pannę Julię“, szepnął, „kocham dawno,
I chciałem właśnie prosić o jej rękę“.
Mówiąc to, minę miał bardzo zabawną:
Znać na nim było, jaką przeszedł mękę.
Pani z litością odrzekła: „Ach! szkoda!
Lecz moja Julcia jest jeszcze za młoda“.

Tu panna chustkę podniosła do nosa,
Na łzy czekając, co popłynąć miały;
Lecz matka na nią spojrzała z ukosa,
Mówiąc: „Juleczko, gdzieś mi się zadziały
Moje robótki... poszukaj w sypialni,
Pewnie gdzie leżą w mojej gotowalni“.

Tak wyprawiwszy córkę, do poety
Znów się odezwie: „Niechaj mi pan wierzy,
Że umiem pańskie ocenić zalety,
I że go zawsze szacuję najszczerzej.
Ale, Bóg widzi, pańskiej propozycyi
Odmówić muszę. Pan nie masz pozycyi“.

„Jakto?“ zawołał, uniesion zapałem,
„Wszak moje imię w świecie dużo znaczy;
Na stanowisko ciężko pracowałem,
Lecz je mam wreszcie“... „Niech mi pan przebaczy“,
Przerwała matka, „takie stanowisko
Nasz świat dzisiejszy ceni bardzo nizko“.

„Sam mi pan przyznasz, że ci literaci
Jest to zazwyczaj najgorsza hałastra.
Wszak z nimi ludzie nie żyją bogaci?“
Poeta westchnął: *Sic itur ad astra!*
A pani, trochę łaciną zmięszana,
Rzekła: „Ja tego nie mówię do pana“.

„Pan Julcię kochasz... jak człowiek szlachetny,
Musisz ofiarę zrobić z swej miłości.
Mam właśnie dla niej marjaż bardzo świetny,
Co jej zapewni cały los w przyszłości...
Chociaż jesteśmy panu z mężem radzi,
Przez wzgląd na Julkę chciej pan bywać rzadziej...“

Wziął za kapelusz, patetycznie, wzniośle,
Skłonił się, milcząc, i wyszedł czemprędzej;
Aż na ulicy zawołał: „O, ośle!
Pisujesz wiersze i nie masz pieniędzy,
I te śmiertelne nosząc grzechu plamy,
Chciałeś otrzymać zezwolenie mamy?“

„Dobrze ci teraz!... Szkoda tylko panny.
Jeszcze mi w oczach stoi ten jej smutek,
I ten wzrok tęskny, łzawy, jakby szklanny;
Byłaż to miłość? czy kataru skutek?
To wieczną dla mnie zostanie zagadką!
Katar rzecz zwykła, a miłość jest rzadką“.

„Gdybym był dawno serca nie roztrwonił,
Musiałbym teraz z rozpaczy umierać.
Ale tak... będę smutkowi się bronił...
Trzeba się jeszcze w świecie poniewierać.
Życie poety to korona z cierni!“
Westchnął i poszedł na poncz do cukierni.

1870.

DWA SONETY [1]).

Sie trennten sich endlich und
[sah'n nicht
Nur noch zuweilen im Traum.
Sie waren längst gestorben
Und wussten es selber kaum.

I.

Kiedym Cię żegnał, usta me milczały,
I nie wiedziałem, jakie słowo rzucić:
Więc wszystkie słowa przy mnie pozostały,
A serce zbiegło i nie chce powrócić.

Tyś powitała znów swój domek biały,
Gdzie Ci słowiki będą z wiosną nucić,
A mnie przedziela świat nieszczęścia cały,
Dom mój daleko i nie mogę wrócić.

Tak pozostałem samotny, bez rady
Na moje smutki i tęsknoty moje:
Przebiegam myślą chwil minionych ślady,

Nad zwiędłą różą zadumany stoję...
I w niebo wzrok mój wysyłam na zwiady,
Lecz o przyszłości pomyśleć się boję.

---

[1]) Przesłane w liście pannie Anieli Grudzińskiej.

II.

Niedługo może na przyszłości dzieje
Zostanie tylko blady cień wspomnienia;
Serdeczne ślady mroźny wiatr rozwieje
I wszystko zniknie we mgłach oddalenia.

Więc trzeba będzie zmusić do milczenia
Te drżące struny, z których pieśń się leje,
I grobowego wziąć pozór kamienia,
Co pogrzebaną pokrywa nadzieję.

Na taką przyszłość, co mgłę ołowianą
Rozpostrzeć może na błękitnem niebie;
Na taką przyszłość ciemną i stroskaną,

Co ból i miłość zarówno pogrzebie...
Niechaj te słowa pamiątką zostaną
I niech przeżyją razem mnie i Ciebie!

Dnia 16 września 1870 r.

Z TRAGEDYI „PROMETEUSZ“.

I.

(Niedostępny szczyt Kaukazu. Prometeusz przykuty do skały).

PROMETEUSZ (sam).

Ciemna żywiołów nocy, roztocz nademną zasłonę,
Nieprzeniknionym cieniem nakryj moje męki!
Zawyjcie uragany, burze, zaryczcie szalone,
Przytłumcie krzyk rozpaczy, zgłuszcie wszystkie jęki;
Osłońcie słabość moją i wstyd hańbiącej niemocy,
Pogrążcie w zapomnieniu i chaosu nocy!
Niechaj nie tryumfują Bogi wszechwładne nademną,
Widząc w straszliwym bólu, co pierś wiecznie porze,
Pełznącą z mego wnętrza rozpacz i trwogę tajemną,
Jako robaka w dębu pruchniejącej korze...
Niech się nie pysznią, rządząc światami wszystkiemi,
Że już nikt im oporu nie stawi na ziemi:
Tryumf ich nie zupełny! Chociaż przykuty do skały
Niezłomnemi okowy na tej posępnej opoce,
Na szczycie wszystkich męczarń, stoję skamieniały
I przez wieki bezwładnie w więzach się szamocę;

Przecież im groźny jestem wielką krzywd moich
[wymową
Co nawet Gromowładnym grom wiesza nad głową.
Tryumf ich nie zupełny! Póki nie złamią ze szczętem
Tej woli, co w mej piersi rozdartej się mieści;
Póki, w przyszłość z obliczem zwrócon nieugiętem;
Przeciw nim nieśmiertelne będę miał boleści,
I gwałt, co krzywdząc słuszność nadużyciem srogiem
Zwraca się przeciw sprawcy, choćby on był Bogiem.
Lecz oto sił mi braknie w ciągłych zapasach
[z rozpaczą;
Niezłomna wola nawet słabnie w męczarniach
[bezmiernych,
Co mi czarnej wieczności ciężki polot znaczą,
Dopełniając wyroku bóstw niemiłosiernych.
Z ich łaski jestem niczem w światów ważącej się szali,
Martwą siłą, co życia prądów już nie zmieni,
Skrępowanym piorunem, co się w chmurach spali,
Zastygłą myślą w ogrom rzuconą przestrzeni.
I to ja, pierwszych dziejów ziemi rówieśnik
[i świadek.
Prawy, wielki współdziedzic twórczej potęgi
[i rządów,
Ja, com widział kolejny mnogich bóstw upadek,
Niebotyczne przewroty wszystkich mórz i lądów,
Com pasmo istnień w ręku tkających je prządek
Poprawiał, nowe kształty z zgasłych dobywał
[popiołów,

Nową harmonię świata, nowy wytwarzał porządek,
Uspakajając walki wzburzonych żywiołów;
Com rzucił ziemi w darze niebu wydarte płomienie,
Cząstką nieśmiertelności pragnąc istoty znikome
Obdzielić, dać im w darze bóstwa iskierkę
[i tchnienie,
By szły zdobywać sobie światy nieznajome:
I to ja, od tej twórczej przeszłości daleki
Zgnębiony w więzach, w bólu, mam tu stać na wieki!
Nie wiem nawet, co wschodzi na tej olbrzy-
[mów niwie,
Co się stało z zasiewem mą rzuconym ręką,
Jakiemi korytami życie świeże płynie;
Wszystko to dla mnie cieniem pokryte i męką.
Zaledwie z tego szczytu, gdzie na błękitach rozpięty,
Przykuty do skał ostrza nad przepaścią wiszę,
We mgłach tonącą ziemię i sine odmęty
Przez chmur szczeliny, wichry i ryk morza słyszę.
Ocean czasem stary fale spienione zaprzęga
I śle mi z pozdrowieniem blade swoje córy;
Zresztą żaden ślad życia do tej wyżyny nie sięga
Prócz powszechnych obrotów wiecznie ruchliwej
[natury.
Zawsze tylko nad sobą widzę te same niebiosa,
Rozesłane przez światów bezdenne przestworza:
Widzę, jak rankiem jutrznia wiedzie rumaki Heliosa,
Jak na nocleg wraz z niemi zstępuje do morza;
Widzę majestat nocy, pełen cichej grozy,
Ruchy niebieskich świateł, srebrne Dyany miesiące,

Oryona tajne biegi i gwiaździste wozy,
Wytkniętemi drogami w wszechświat się toczące.
To widzę w ciągu wieków, a czy mam nad głową
Wóz słońca, czy też nowy księżyc w srebrnym sierpie,
Nigdy nie mam wytchnienia: zawsze jednakowo
Pasuję się z mym losem, bezsilny, i cierpię,
I własną nieśmiertelność w wolnem przeklinam
[konaniu,
I zazdroszczę ziemianom znikomego kresu,
Że złą czy dobrą dolę w jednem przebywszy świtaniu,
Jako cienie zstępują w otchłanie Hadesu:
Ci mają snu i śmierci wielce litośne bliźnięta,
Co kruszą wszystkich kajdan, wszystkich boleści
[ogniwa;
Lecz dla mnie ulgi niema: ręka przeznaczeń zacięta
I boleść moja nigdy, nigdy nie spoczywa!

II.

(PROMETEUSZ na szczycie Kaukazu, przykuty do skały. Pojawiają się OCEANIDY, zajmując niższe piętra skał, tuż pod szczytem)

STROFA.

Nieubłagany gniewnych bóstw wyroku!
Nieszczęśliwego ciężką gnieciem ręką.
Okropna dolo! posępny widoku,
O, sroga bez granic męko!
Trudno nie zadrżeć litością i trwogą,
Gdy groza piersiom spocząć nie dozwoli.

Lecz co westchnienia, co skargi pomogą
Takiej wieczystej niedoli?
Próżno rzuciwszy modrych wód posłanie,
Tu przybywamy z łez błyszczącą rosą:
Łzy nasze w ciemne spadają otchłanie
I żadnej ulgi nie niosą.

ANTISTROFA.

Gdzież jest pociecha, pomoc albo rada,
Dla tego smutków nadziemskich olbrzyma?!
Próżno przy boku nasz orszak zasiada,
Mokremi patrząc oczyma;
Próżno mu ślemy litościwe słowa,
Co przepadają bez żadnego echa:
Marną jest litość, daremna wymowa,
Bezsilną wszelka pociecha.
Myśl jego, cierpień porwana odmętem,
Przeciwko własnej wieczności się miota,
Jak gdyby rozpacz chciała już ze szczętem
Zagasić płomień żywota.

STROFA.

Jakże jest straszną cierpienia potęga!
Chwilowo nawet moc Tytanów łamie
I nieugiętą ich wolę rozprzęga
Silniejsze złych losów ramię.
Lecz tylko rodzaj znikomy
Traci na zawsze swą pozorną dzielność;

Przetrwa zaś wszystkie przeznaczenia gromy,
Kto czuje swą nieśmiertelność.
Choć się pod ciosem czasami zachwieje,
Własnym natchnieniom choć złorzeczy w szale,
Nieporuszony przez wieków koleje
Stać będzie w posępnej chwale.

ANTISTROFA.

Mizerną rozkosz otrzymuje w darze
Wszystko, co pełza i w cieniu się kryje;
Wielkość z cierpieniem zawsze chodzi w parze,
W najwyższe szczyty grom bije.
Kto obrał niezwykłe drogi,
Musi się zbroić na ból i męczarnie;
Wyniosłej głowy nie oszczędzą bogi,
Nie wolno wznieść się bezkarnie.
Lecz kara w tryumf zamienia się potem,
Do dawnych blasków przyrzucając świeże:
Prawdziwa wielkość pod nieszczęścia młotem
Kształt doskonały przybierze!

ADAMOWI PŁUGOWI.

Błogosławione! te jasne i proste
Serca wierzące z słodyczą gołębią,
Które, przetrwawszy ciężką losu chłostę,
Szlachetnych pragnień w sobie nie wyziębią
I chociaż niemi burza nieszczęść miota,
Widzą wciąż piękno i dobro żywota.

Kraków, d. 14 listopada 1887.

PRZED JUTREM.

Trudno bez żalu patrzeć na zagładę
Dawnych form bytu, do których przywykły
Oczy i serca, tak zatrzymać rade
Na fali czasu cień przeszłości nikły.

Trudno nie boleć, widząc, jak zamiera
To, z czem za młodu byliśmy związani...
Jak naszych uczuć, naszych dążeń sfera,
Powoli w ciemnej nurzą się otchłani.

Lecz boleść nasza z dniem się kończy naszym
I pośród świata długo nie zagości,
I rozpaczliwą skargą nie odstraszym
Tryumfalnego pochodu przyszłości.

Przyszłość ma prawa silniejsze i przed nią
Ustąpić musi teraźniejszość zwiędła,
Chociaż chce chwilę przedłużać poprzednią
I trwać w postaci, w jaką się oprzędła.

Próżno się czepia obumarłych tkanek
I w nich kształt przyszły więzić się wysila:
Z martwej powłoki w nowy życia ranek
Przyszłość na skrzydłach wyleci motyla.

Świat zrzucić korę zbutwiałą pospiesza,
Bo ją rozsadza młoda, silna zieleń;
Nienarodzonych niezliczona rzesza
Z niecierpliwością czeka chwili wcieleń.

Nowe uczucia, myśli, ideały,
Nowe kierunki, nowe formy istnień
Ćwiartują łona, co je zrodzić miały,
Aby przyspieszyć dzień urzeczywistnień.

Ci, którzy patrzą na dzisiejszy przełom
Pod nowych haseł i dążności wodzą,
Muszą złorzeczyć bezlitośnym dziełom,
Któremi dzieci w pierś macierzy godzą.

Musi ich trwożyć ten szalony zamach,
Który pozornie zrywa wszystkie węzły,
I w zacieśnionych nie mieści się ramach
Pojęć, co w martwym zastoju uwięzły.

A przecież cała ta burzliwa siła
To zawsze tylko ciąg przeszłości dalszy:
W jej łonie dawno, jako zaród, tkwiła,
Pragnąc osiągnąć rozwój doskonalszy.

Więc choć się zwraca przeciw swej macierzy
I straszy ojców swem potwornem licem,
Do pnia wspólnego pokoleń należy,
I dawnych prądów prawym jest dziedzicem.

Gdy się na światło dobędzie z ukrycia,
Spadnie z niej kształtów pierwotnych ohyda,
I pojednana z warunkami życia
Świeża latorośl świeże kwiaty wyda.

I to, nad czego boleliśmy stratą,
Znów odświeżonym zajaśnieje bytem,
Łącząc przeszłości spuściznę bogatą
Z nowych porywów młodzieńczym rozkwitem.

Styczeń, 1895.

SZKIC

DO WSPÓŁCZESNEGO OBRAZU, OFIAROWANY JACKOWI MALCZEWSKIEMU.

W ogrodzie, strojnym w rzeźb klasycznych szereg,
Pełnym róż, mirtów, jaśminów, tuberoz,
W gronie wykwintnych paziów i pasterek
Renesansowy cicho stąpa Eros.

Ostrożnie leci jego złota strzałka
Pomiędzy pary rozmarzone słodko,
By nie skaleczyć pieszczonego ciałka,
A tylko tajną podrażnić łaskotką.

Wytworne damy, poeci, artyści,
Sztuki smakosze, dworacy i pazie,
W cieniu laurowych grupują się liści,
W półtonach płynnych, w mistrzowskim obrazie.

Lekkie westchnienia, przelotne uśmieszki,
Spojrzenia, słodycz niosące przez chwilę,
Wdzięczne pokusy, eteryczne grzeszki,
Krążą w powietrzu, jak płoche motyle.

Niedomówione wśród urwanych szeptów,
I niby siatką spowite pajęczą,
Z ust estetycznej alchemii adeptów
Słowa muzyką przytłumioną brzęczą.

I płynie myśli subtelny aromat,
Wyszlachetniony w cieplarnianej szkole,
Przystępny tylko dla wybranych gromad,
Odczuwających nastrój i symbole.

I w estetycznym roztopione smutku,
Co z prozy życia powszedniej wyrwany,
Nadobne pary szepczą po cichutku,
Do bladolicej wzdychając Nirwany.

Jest im niezbędny wśród wrażeń przesytu
Gorzki, trujący nicestwa narkotyk,
Więc rozpaczają nad marnością bytu...
I w nowy zaraz przechodzą erotyk.

* * *

Po za kratami ogrodu w ulicy,
Tłum się gromadzi i przed bramą staje...
Jacyś nieznani barbarzyńcy dzicy...
Niesforne, brudne i obdarte zgraje.

Pomiędzy niemi nie Eros różany
Na blade twarze rzuca blask przewodni.

Lecz jakaś wiedźma, ubrana w łachmany
Potrząsa drzazgą płonącej pochodni.

W źrenicach krwawe zapala on błyski
Widokiem bogactw kuszących ogrodu,
I budzi instynkt poziomy i niski,
Brzydkie uczucie zwierzęcego głodu.

Twarde ich pięści zaciska kurczowo,
Jadem zawiści serc przyspiesza bicie,
Na usta kładzie złorzeczenia słowo,
I ten głos w ostrym wydobywa zgrzycie:

„Gdy nasze dzieci wśród wilgotnych ciemnic
„Duszą się, żądne mleka i powietrza,
„Gdy nasze siostry na chlebie najemnic
„Nie mogą wyżyć, nam sztuk waszych nie trza!

„Kto w jarzmie pracy nie dośpi i nie zje,
„Gdy go z rodziną przyciska potrzeba,
„Klnie waszą mądrość i waszą poezyę,
„A łaknie ziemi, powietrza i chleba.

„Was nie obchodzą nic losy milionów,
„Ani nędzarzów pospolite troski,
„Przeto w przepychu woni, barw i tonów
„Do szczętu zagon trwonicie ojcowski.

„Lubicie ludzką wzruszać się niedolą,
„Gdy ją widzicie w książce lub na płótnie,
„Ale was rany nasze nie zabolą,
„I trud żywota obcy wam, o trutnie!“

Tak coraz głośniej wykrzykuje tłuszcza,
Patrząc na państwo fantazyi bogate,
I coraz dziksze spojrzenia zapuszcza
W siedzibę zbytku, przez ogrodu kratę.

Ale w ogrodzie estetyczne damy,
Trubadurowie, sztukmistrze i pazie,
Nie słyszą burzy co huczy u bramy,
Tonąc w lubieżno-mistycznej ekstazie...

6 marca 1895

SPRZECZNE PRĄDY.

Panu Pastorowi Julianowi Machlejdowi

Między rozpaczą a nową nadzieją
Serca się ludzkie bezustannie chwieją,
I każda wieków mijająca chwila
W inną je stronę, jak kłosy, pochyla.

Czasami w świecie jakiś podmuch świeży
Do darów życia zaufanie szerzy,
Jakiś blask słońca pogodniejszy spływa,
Jakaś jutrzenka barwna, migotliwa,
W której cel każdy, każda ludzka praca,
Różowym pragnień ogniem się wyzłaca.

Czasami znowu, jakby ciemność burzy
Pogodny bytu widnokrąg zachmurzy...
Posępne w mrokach zjawia się widziadło
I sieje postrach twarzą swą wybladłą,
Co nieskończoność ludzkiej nędzy wieści
I bezcelowej niezmienność boleści.

Tak wciąż w ludzkości ważą się kolejno
Wiara w cel jasny z trwogą beznadziejną;
Dwa sprzeczne z sobą mięszają się chóry
Dwa różne twórczej odczucia natury,
Dwa, z idealnej zrodzone tęsknoty,
Wysokie duchów współczujących wzloty,
Co jak dwa skrzydła w górę ludzkość niosą,
Promienne światłem i łez lśniące rosą,
A serca, wielką miłością trawione,
W jednę lub drugą zwracają się stronę.

Są takie, które przygniata i nęka
Żyjących istot nieustanna męka,
A groza walki, bezpłodność konania
Cały ów błękit niebieski zasłania.
W nich ból pokoleń dawno zmarłych płacze,
I wszystkie świata schodzą się rozpacze,
Wszystkie tytanów zbuntowanych kłótnie,
By je rozdźwięczyć, jak żałosne lutnie,
Wypełnić jękiem i rozstroić trwogą,
Że ulżyć ludzkiej niedoli nie mogą,
Więc nic dziwnego, że bólem nabrzmiałe
Prometeuszów dzielą kaźń i chwałę.

Są inne, które w srogim nieszczęść wichrze,
Stają się coraz pokorniejsze, cichsze,
Choć współczujące, przecież górą płyną
Nad łez i nędzy posępną krainą;

Ponad ciał męką, nad zgnilizny warstwą,
Znajdując pewne w niebiosach lekarstwo
Na wszystkie życia choroby i rany;
Tym jakiś promień czysty i świetlany
Wśród walk zamętu wiarę w przyszłość szczepi,
Wskazując w dali świat, gdzie będzie lepiej...

I tak wciąż serca pokoleń się chwieją
Między rozpaczą a nową nadzieją,
A ta nadzieja i ta rozpacz krwawa
W dziejach ludzkości równe mają prawa.

Ale w te duchów podniosłych sztandary
Stroić się lubią liche, nędzne mary.

Więc jest egoizm bezczelny i niski,
Wpatrzony w smacznej biesiady półmiski,
Który, gdy sobie podpije i podje,
Optymistyczne nuci wciąż melodye,
I z Bachantkami, jak pijany Sylen,
Pieści się brzmieniem miłosnych kantylen.
Żadna go cudza skarga nie poruszy:
Przed jękiem ludzkim zatkał sobie uszy
I zamknął oczy na nędzarzów boleść,
By do miękkiego wcześniej łoża doleść,
Gdzie zdala od tych, co smutni i krwawi,
Błogo przeżuwa i szczęśliwie trawi,
I boski świata wychwala porządek,
Mając sen dobry i zdrowy żołądek.

Jest i pesymizm, zrodzony w przesycie,
Któremu zbrzydło roztrwonione życie.
Gdy czarę uciech wysączył aż do dna,
Sądzi, że była ust jego niegodna,
I że ta rozkosz, którą czcił, jak bóstwo,
To wieczne chytrej natury oszustwo!
Więc w przeżytego nicestwo człowieka,
W czczość chorej duszy cały świat obleka,
I gdy sam z własną niemocą się miota,
Chce innym źródła zatruwać żywota;
I tym zazdroszcząc, co wśród życia boju
Mimo ran ciężkich idą wciąż w spokoju,
I patrząc w przyszłość z pogodnem obliczem,
Nieustraszeni, nieugięci niczem,
Na przekór losom nie tracą odwagi...
Wbija w ich piersi nóż szyderstwa nagi
I ciemną przepaść wskazuje pod nogą,
I puste niebo, gdzie niema nikogo!
I bezowocność walki im tłómaczy,
Aby padali i marli z rozpaczy...

21 marca 1895.

Z OBCYCH STRON.

I.

POINTE DE RAZ.

Poszarpany, na sztuki pocięty,
Groźny cypel wzniósł się nad odmęty,
Wielkim pasem przyczepion do ziemi;
Wystrzeliwszy wysoko ku górze,
Niby twierdzy obronne przedmurze
Na dół spada głazami ściętemi.

Jakby w otwór olbrzymiego kotła,
Toń burzliwa w jego łono wgniotła
Wody w ciągłym szalejące wirze...
I w tym kotle z gwałtownością wściekłą,
Całe wodne wre i ryczy piekło,
Fal językiem skał wierzchołki liże.

Wydrążone granitów filary
Wśród pian srebrnych i dymiącej pary,
Jak organy wyrastają z głębi,
I smutnymi jękami się żalą,
Gdy w ich wnętrze z każdą nową falą
Woda w górę wznosi się i kłębi.

Dalej w morzu... od lądu oddarty,
Nakształt brzegu wysuniętej warty,
Szmat wysepki, raczej odłam skały,
Sterczy nagi. Między nim a lądem
Morze wpada rozhukanym prądem,
Niosąc łodzie chyżym pędem strzały.

Na tym brzegu rozsiadł się ponury
Kształt pierwotnej, celtyckiej natury
Średniowieczny, spóźniony romantyk...
Wzniósłszy w górę dumną skroń olbrzyma,
Kamiennemi wyziera oczyma
W mgły północy, w burzliwy Atlantyk.

Głuchy, niemy, nieruchomy świadek
Scen minionych, dziejowych zagadek,
Ta olbrzymia głazów piramida:
I widziała, jak świętą jemiołą
Uwieńczywszy blade trupa czoło,
W łódź kładziono zmarłego Druida.

A te łodzie bez steru i wiosła
Fala sama z umarłymi niosła
W wiecznych mroków posępną krainę,
Na brzeg wyspy, która w oddaleniu
Niby smuga majaczeje cieniu,
Tajemniczo w mgły spowita sine.

I dziś jeszcze, po słońca zachodzie,
Zda się, płyną z umarłemi łodzie
Rwane siłą tajemnego prądu...
I znikają gdzieś w mrokach przestrzeni,
Jak gromadka falujących cieni,
Do cichego przybijając lądu.

* * *

W podartych chmur zgęszczonej ćmie
Tonie widnokrąg ciemnych fal,
Zacina deszcz i wicher dmie,
Zniknęła morza dal.

Z wściekłością bije wzdęta toń
O głazów próg, o ścianę skał,
I na granitów ostrą skroń
Spieniony rzuca wał.

O poszarpany tłukąc brzeg,
Przeciągły z sobą toczy grzmot,
I wlewa swój kipiący ściek
W czeluści czarnych grot.

Nakształt ruchomych płynnych gór
Spiętrzone pędzą fale wód,
A piana pryska aż do chmur!
Wiruje głębi spód.

I w wydrążonych słupów rząd,
Co pod naporem fali drga,
Podwodny z rykiem wpada prąd
I dziką pieśń swą gra...

Słychać huk bębnów, brzmienia trąb,
Organów hymny i dźwięk lir:
To wre i huczy morska głąb,
Kipiący syczy wir.

Ten szum siekących deszczu rózg,
Ten jęk piskliwych mew,
Ten wichru świst, ten fali plusk:
To Oceanid śpiew.

II.

TAORMINA.

Na urwisku prostopadłem,
Na uciętych skał marmurze,
Ponad modrych mórz zwierciadłem
Taormina błyszczy w górze.

Jak jaskółczych gniazd gromada,
Przyczepiona do urwiska,
Tarasami w przepaść spada,
Białe domki w błękit ciska.

Odwrócona ku wschodowi
W głąb Jońskiego patrząc morza,
Pierwsze świtu blaski łowi,
Które grecka śle jej zorza.

Na błękitów malowidle
O minionych czasach marzy:
Wysunięty na jej skrzydle
Grecki teatr siadł na straży.

Zasiadł z ciszą i powagą
Wabiąc widzów tak wymownie...
Bo otworzył pierś swą nagą,
Malowniczych scen widownię.

W koło uśmiech słońca złoty
I błękitu nieskończoność,
Zawieszonych pnączów sploty,
Z laurowych drzew zieloność.

Różowieją po gór stokach
Strojne w świeży kwiat mandorle;
Wyżej zamek tkwi w obłokach;
Saracenów gniazdo orle.

Wyżej ponad horyzontem
Płaszcz ze srebra wznosząc świetny,
W niebo wbił się ostrokątem
Wyniesiony stożek Etny.

Jak rycerskie nad nim pióro
Na błękitach coraz bledsze,
Dym podłużną wzniósł się chmurą
I rozpływa się w powietrze.

Legendowe tchnienia wieją,
I słoneczne błyszczą mity...
Dni współczesnych z Odysseją
Pada jeszcze blask odbity.

Starożytny duch Hellady
Swe pajęcze sieci przędzie,
Choć zamglony, nikły, blady,
Piętno swoje wyrył wszędzie.

Zlał się z całą tą przyrodą,
I jak światło gdzieś z grobowca
Pod powierzchnią życia młodą
Śle promienie dla wędrowca.

Niegdyś znowu ku tej skale
Fala morska z sobą niosła
Dzikie, groźne plemion fale,
Rycerskiego tłum rzemiosła.

Przybywały po łup krwawy
Saraceny i Normandy,
Rozwijając tęczę sławy
I rycerskich dzieł girlandy.

I niejeden z tych rycerzy
Ostrym mieczem swym wykrawał,
By tron sobie zdobyć świeży,
Pochwyconej ziemi kawał.

Dziś ta przeszłość barwna tyle
Chociaż cicho w laurach drzemie
Miga jednak w złotym pyle,
Co klasyczną kryje ziemię.

III.

NOC NA MORZU.

W DRODZE Z MALTY DO GOLETTY.

Srebrzyste blaski toń przesiewa modra,
W miliony drżących rozprasza iskierek,
I snopy światła na okrętu biodra
Kolejno rzuca fal ruchliwy szereg...
Noc księżycowa tak jasnością szczodra
Perłową siatką wód błękity muszcze;
Cisza: zaledwie łagodny wiaterek
Podnosi falę, która miękko pluszcze.
Jak cienie mkniemy przez te płynne puszcze.

Pogodnej nocy majestat królewski
Zawisł nad całą spokojną głębiną;
Wzrok ściga drżące świateł arabeski
I płynie z niemi w nieskończoność siną...
W ślad za nim myśli w ten obszar niebieski
Lecą bez końca, roztopione w ciszę
I poza światem gdzieś omdlałe giną.
A księżyc dalej srebrne znaki pisze
Na fali, która jak do snu kołysze.

Mijają chwile, może całe wieki,
W tem rozmarzeniu, co godzin nie liczy;
Świat dotykalny cofa się daleki,
A sen srebrzysty, nieznanej słodyczy,
Przez pół otwarte wciska się powieki,
I płynie w duszę z cichym szumem fali,
Coraz to więcej dziwny... tajemniczy...
Aż go chłód rosy, co się w mgłach kryształi,
I świeższy powiew poranku oddali.

Na wschodzie niebo zdaje się różowieć
I od ciemniejszej odcina się toni:
To pierwsza blizkiej jutrzenki zapowiedź.
Świt mleczny z blaskiem miesięcznym się goni,
Zmącone fale zaczynają płowieć.
Gwiazdy pobladły; senne oczy mrużą;
Tylko poranna, jak brylant na skroni
Młodziutkiej jutrzni, nad obłoczków różą
Staje się mocniej błyszczącą i dużą.

Przed nami w morze czarny klin się wciska,
Brzeg wyniesiony skalisty i dziki!
Piętrzą się groźnie bazaltów urwiska...
To wysunięty przylądek Afryki!
Na jego szczycie jeszcze światło błyska
Rozsiane w morzu oświecając skały;
Ze skał dochodzą morskich ptaków krzyki,
Które noc w głazów szczelinach przespały,
A teraz wrzaskiem witają dzień biały.

IV.

PUSTYNIA.

Dokoła, wszędzie obszar jednostajny, płaski,
Roztacza przeraźliwie bielejące piaski,
Z których szaremi centki, jak kropka przy kropce,
Wznoszą się wirem wichru usypane kopce
Prawie w równych odstępach, a ich chwiejne czoła
Wieńczą szorstkie, kolczaste popielate sioła,
I na owe palącej białości przestrzenie
Rzucają swoje nikłe, szarzejące cienie.
Zresztą na widnokręgu nic się nie wyróżnia:
Wszędzie ta sama pustka i dusząca próżnia,
Która pod roztopionych lazurów kopułą
Stoi wieczyście głuchą, niemą i nieczułą.
Nic nie przerywa nagich płaszczyzn krajobrazu:
Ani odległe drzewo, ani odłam głazu,
Ani nawet obłoczek lecący w oddali...
Wszędzie blask, co oślepia, i żar, który pali.
Płonący glob i błękit błyszczący bez zmiany,
Tuż ponad ziemią, w pierścień ujęty miedziany...
Nic nie drga, tylko drgają odbite przez piaski
W falującem powietrzu rozproszone blaski.

Żaden głos, szmer żaden nie dochodzi ucha,
Co próżno wytężone z niepokojem słucha,
Czy nie posłyszy dźwięków płynących w błękicie...
A słyszy tylko serca przyspieszone bicie.
Zresztą głuche milczenie zaświatowej głębi,
Które zwolna wędrowca swym bezmiarem gnębi;
A śladem jego kroków w tej bezbrzeżnej ciszy
Groza osamotnienia i strach towarzyszy.
Dziwny strach, w którym człowiek, czując swoją [nędzę,
Na pastwę bezlitosnej rzuconą potędze,
Widzi siebie zdeptanym pod nogą olbrzyma,
Co wkoło rozpostarty całun piasków trzyma,
Aby go rażonego strzał słonecznych grotem,
Zagrzebać w nim i zatrzeć wszystkie ślady potem
W tej olbrzymiej samotni, której całe dzieje,
Kręcąc kłębami piasku, kreśli wiatr co wieje...

V.

ZAMARŁA OAZA.

Tu niegdyś biło źródło tajne,
Wśród piasków znacząc srebrny ślad,
I niosło rosy życiodajne
W pustyni głuchy, martwy świat.

A z spalonego ziemi łona
Wytrysło życie z biegiem wód,
Wzniosła się w niebo palm korona,
Dając wędrowcom cień i chłód.

I jak łudzące puszcz obrazy,
Na suchych piasków nagiem tle,
Powstał rozkoszny gaj oazy,
W złocistych blasków lśniącej mgle.

Wrzało tu życie i wesele,
Karawan tutaj ciągnął szlak,
Do wody płoche szły gazele,
Na drzewach gniazdo uwił ptak.

I ten zakątek puszcz obszaru
Weselny życia przybrał strój,
Pełno w nim barwy, ruchu, gwaru...

Lecz wysechł zdrój!...

Dziś kilka pni zeschniętych sterczy,
Inne zwalone kryje żwir;
Nad niemi słońca żar morderczy
I latających piasków wir.

Już wielbłąd tutaj nie przyklęka,
Gazela nie przychodzi pić,
Zniknęła owa zieleń miękka,
Co okalała srebrną nić.

Wachlarze palm się nie kołyszą,
Umilkł owadów, ptasząt gwar,
Wszystko jest grozą, smutkiem, ciszą,
Wszędzie słoneczny pali żar.

Pustynia gwałtem znów się wdarła,
Biorąc oazę w uścisk swój,
I wszelka życia gra zamarła,

Gdyż wysechł zdrój!...

VI.

NA POLACH KARTAGI.

Przedemną pola milczące Kartagi
Wciśnięte między dwie zatoki morskie:
Grunt pogarbiony, zdziczały i nagi,
Po którym przeszły pęki rózg liktorskie.

Ruń wschodzącego jęczmienia zielona
Pokrywa gmachy, które w gruzy legły;
Gdzieniegdzie z ziemi otwartego łona
Piętrzą się warstwy kamieni lub cegły.

Odkryte doły, zaklęśnięte jamy
Bezkształtne wnętrza ukazują zwalisk;
Po polach leżą strzaskane odłamy
I bezimienne szczątki wykopalisk.

Gdzieniegdzie mignie znienacka w pobliżu
Twarz ludzka pośród odsłoniętych ruin,
W framudze cegieł, jak posąg ze spiżu,
Stoi poważny Arab, lub Beduin.

Posępna plemion zginionych kotlina,
Ściegiem zielonych haftowana grządek,
Ostrym trójkątem ku morzu się wspina
I w górujący wystrzela przylądek.

Na jego stoku coś bieleje niby,
Wężem zieleni przepasane w kółko:
To białe, nizkie Arabów siedziby
I groty świętych z okrągłą kopułką.

Szerokie, płaskie kaktusów łodygi
W koło lepianek tworzą płot kolczasty,
Wśród nich aloes, lub krzywy pień figi
Wznosi ramiona nad piasek i chwasty.

Przed lepiankami zasiedli na ziemi
Piękni liniami i wyrazem chłopcy
O śniadych twarzach: oczyma czarnemi
Patrzą zdziwieni, gdy nadchodzi obcy.

* * *

Słońce ku morzu zeszło gorejące,
A przez kaktusów dzikie żywopłoty
Wybiegło naraz promieni tysiące...
Przedarł się pożar czerwony i złoty...

Poza skał szczytem wybuchając w dole,
Odbity w górze przez chmur ciemne wstęgi,

Ogniem swym objął kartagińskie pole,
Coraz to szersze zataczając kręgi.

A mnie się zdało, iż przedemną płonie
Olbrzymie miasto, gdzie wre bój zajadły...
I widzę mieczem uzbrojone dłonie,
I stosy trupów, które w walce padły.

Goreją gmachy, świątynie, portyki,
A orły rzymskie ulatują górą:
Wzniosły się dumnie ponad zamęt dziki,
Oblane łuny ognistą purpurą.

Tłum zrozpaczonych niewiast prosto leci,
Gdzie w żarach krwawe topnieją bożyszcza;
Rzucają w płomień skarby swe i dzieci,
I same skaczą w walące się zgliszcza.

Męże polegli, niema już narodu,
Jeźdźcy tratują nikczemnego zbiega,
A nad gruzami zburzonego grodu
Rzymskie *Vae victis!* głośno się rozlega.

Po drugiej stronie, u pagórka stoku,
Na swym rumaku siedzi Scypio blady;
Duma zwycięzcy błyszczy w jego oku
I patrzy chciwie na dzieło zagłady...

Nagle twarz jego groźna, nieużyta,
Troski, czy smutku wyraz na się wzięła;
Aż go zdziwiony towarzysz zapyta:
„Wodzu, czy żal ci spełnionego dzieła?"

A Scypio rzecze: „Serce Rzymianina
„Na szalę wrogów litości nie kładzie:
„Gdyby powstała z gruzów Kartagina
„Sam bym na nowo wydał ją zagładzie.

„Lecz pomyślałem, iż dzień nadejść gotów,
„W którym dla Rzymu zajdzie chwały słońce,
„Kiedy mu zbraknie rycerskich przymiotów
„I gdy ostatni wymrą mu obrońce.

„Może tak samo w krwi, ogniu i dymie
„Mściwej Nemezis karcące narzędzie,
„Dzicz barbarzyńska, hańbiąc jego imię,
„W gruz go obróci, gdy już nas nie będzie".

* * *

Wtem słońce zaszło, i wszystko zagasło:
Widmo przeszłości w noc grobów zapada;
Tylko, jak dawniej, bezlitosne hasło,
Brzmi w górze okrzyk: „Zwyciężonym biada!"

VII.

HASZUMAT.

Haszumat tylko małpą był,
Lecz Ramy wiernym sługą...
I z bohaterstwem wedle sił
Demonów zwalczał długo.

A gdy tryumfu nadszedł czas,
U niebios jasnych progów,
Haszumat z Ramą został wraz
Obdarzon łaską bogów.

I gdy stał trwożny, patrząc w blask
Przy boku bohatera,
Spytali: „Jakich żąda łask,
I jaki dar wybiera?"

On westchnął: „Jedną żądzę mam,
„Lecz nikt jej nie wysłucha;
„Bo chcę do niebios dążyć bram
„Ludzkiego posiąść ducha".

Więc rzekł mu Indra, jasny bóg:
„Przez miłość swą ku Ramie
„Walcząc w szeregu moich sług,
„Zdobyłeś ludzkie znamię.

„Ponad bezdusznych stworzeń rój
„Ponad powłokę błota,
„Wyniósł cię własny poryw twój
„Wyższego chęć żywota.

„Wytrwale tylko w górę dąż!
„Z całem potomstwem Twojem,
„A będziesz bóstwu bliższym wciąż
„Szlachetnych czynów znojem.

„Lecz się powracać myślą strzeż
„Do niższej sfery bytu,
„Ocknie się bowiem w tobie zwierz...
„I spadniesz z marzeń szczytu!"

VIII.

TRIMURTI.

P. Karolowi Potkańskiemu.

Przed pagodą trójgłowe bezkształtne bożyszcze...
Pod niem zaś napis: „Stwarzam, utrzymuję, niszczę“.
Troje głów i sześć ramion splątanych przedemną
Przykuwa myśl potęgą zagadkową, ciemną...
Zarazem mnie odpycha i nęci i drażni
Ów fantastyczny utwór dzikiej wyobraźni.
Gdy tak stoję i wlepiam nieruchome oczy
W bóstwo, co wciąż mi rośnie i ogromem tłoczy;
Jakby duch, siwy bramin zjawia się nieznacznie
I zagadkową postać tak objaśniać zacznie:
„Ta głowa, co w pośrodku, to przedwieczny Brahma,
„Najwyższa osobowość, moc duchowa sama,
„Bóg słońca poza światem, który z swego łona,
„Świadomy celu, wywiódł wszech bytów nasiona.
„Ta twarz druga, to Wisznu: wyobraża władzę
„Utrzymującą cały wszechświat w równowadze,
„Bóg rozlany w naturze i będący zatem
„Jednocześnie i Bogiem i samym wszechświatem.

„A twarz trzecia, to Sziwa, potęga złowroga
„Ślepych zniszczeń: to wszechświat pojęty bez Boga,
„Co bezcelowo próchnem istnienia wciąż świeci
„I nieczuły na mękę, pożera swe dzieci.
„Te wszystkie trzy pojęcia w nieustannej bójce
„Stanowią razem jednę, nierozłączną trójcę,
„Uzmysłowiony symbol, ciosany niezdarnie,
„Tej mocy, której ludzki umysł nie ogarnie".

OPOWIEŚĆ DUCHA
SPISANA NA POSIEDZENIU SPIRYTYSTÓW W DNIU 31 GRUDNIA 1893 ROKU.

Za życia byłem sceptykiem,
Po śmierci jestem nim jeszcze,
Za karę w nodze stołowej się mieszczę
I muszę poruszać stolikiem.

Strasznie zostałem skarcony,
Żem w spirytystów nie wierzył;
Zaledwiem bowiem żywot ziemski przeżył,
Dyabeł pochwycił mnie w szpony.

I zawlókł w ciemne czeluście,
Gdzie w ognia i siarki dymie
Ujrzałem tłumy narodu olbrzymie,
Tłok taki, jak na odpuście.

Widok, wyznaję to szczerze,
Był jednym z wspanialszych w świecie,
Trudno piękniejszy napotkać w balecie,
Lub w fantastycznej operze.

Wszystko tam było prześliczne:
Bengalskich ogni bez miary,
Zielone, krwawe, błękitne pożary,
Wybuchy zórz elektryczne.

Harmonia straszna i dzika,
Klątwy, krzyk, jęki, zgrzytanie,
Dyssonansami zalały otchłanie,
Jak Wagnerowska muzyka.

W płomieniach biedaczki dusze
Pocą się, smażą i skwierczą,
Wśród nich szatani chichoczą szyderczo,
Dziwne zadając katusze.

Te rozdzierają w kawałki,
Tamtej pakują w brzuch widły,
Innej znów w gardło kłąb gadzin obrzydły
I zdrój płonącej gorzałki.

Tu jakąś postać opasłą,
Co rączki składa pobożnie,
Na złotym zwolna obracają rożnie
I roztapiają na masło.

Tam dusze nadęte gniotą
Pod hydrauliczną maszyną...
Cudze łzy z wnętrza obficie im płyną,
I pozostaje z nich błoto.

Tam znowu poety marę
Karmią wierszami własnemi,
I wszystkie głupstwa, co pisał na ziemi,
Pchają mu gwałtem za karę.

Straszliwa nad wyraz męka:
Próżno się dławi i krztusi,
Te same brednie wiecznie łykać musi,
Choć nieraz jak bomba pęka.

Gdzieniegdzie orgia szalona,
Bezwstydne gody upiorów...
Świecą łby łyse dumnych senatorów
I nagie tancerek łona.

Aż któryś z szatanów bryźnie
Wiaderkiem gorącej smoły:
W ropuchy orszak zmienia się wesoły
I wszystko tonie w zgniliźnie.

Dworacy parami tańczą
Przed tronem u lucypera:
Każdy językiem proch ze stopni ściera
Z giętkością wiernopoddańczą.

Co chwila ten lub ów dworak
Pod nogą gruntu nie spotka,
Stoczy się w otchłań, gdzieś do piekieł środka...
Na zawsze przepadł nieborak!

Kiedy oglądam te dziwy
I w koło ciekawie patrzę,
Sądząc, że w loży zasiadam w teatrze,
Czart do mnie zdąża straszliwy,

W ręku wężowy bicz niesie
I wstrząsa groźne narzędzie,
I prosto na mnie zamierza się w pędzie.
Więc ja do niego: „Mój biesie!

„Próżno wężamibyś chłostał,
„Wątpię, by to mnie bolało,
„Wszakże na ziemi zostawiłem ciało...
„Sceptycyzm, ten mi pozostał.

„Nie patrz się na mnie tak dziko,
„Porzuć tę pozę sceniczną!
„Bym mógł bez ciała czuć boleść fizyczną,
„To się nie zgadza z logiką.

„Ta groza piekielnej kaźni,
„Którą szerzycie z urzędu,
„Biorąc swe źródło z logicznego błędu,
„Polega na wyobraźni.

„Naiwne duszyczek zgraje,
„Które straszycie z rozkoszą,
„Sądzą, że różne męczarnie ponoszą,
„Cierpią, bo tak się im zdaje.

„Lecz mnie przerazić nie zdoła,
„Pomimo wszystkich swych zalet,
„Ten artystycznie obmyślany balet:
„Płomienie, siarka i smoła“.

Gdy tak przemawiam do czarta,
A dusze wkoło się kupią,
On pysk rozdziawił z miną śmiesznie głupią,
Że była widzenia warta.

Przez chwilę stał w niepewności,
Nie wiedząc, co ze mną pocznie;
Wreszcie mnie porwał i zaniósł bezzwłocznie
Do tronu szatańskiej mości.

„Z tą duszą kłopot mam — rzecze —
„Gdyż twierdzi, iż w braku ciała
„Nie będzie męki zadanej cierpiała
„I że ją ogień nie piecze.

„Z płonącej żartuje mazi
„I wszystko mieni kuglarstwem,
„Ten nędzny chłystek swojem niedowiarstwem
„Całe nam piekło zarazi.

„Wychodzi z odwiecznych reguł
„Zdarzenie to nadzwyczajne:
„Wszystkie instrukcye bądź jawne, bądź tajne,
„Zbyły milczeniem ten szczegół.

„Więc ty, monarcho szatanów,
„Co piekłem rządzisz tak mądrze,
„Myśl buntowniczą zdepc w samem jądrze,
„Karę dla niego postanów“.

„Co — rzeknie piekielny władca —
„On się chce rządzić rozumem,
„Szczepi niewiarę pomiędzy dusz tłumem
„Ten cynik, ten świętokradca!

„Gdy tyle dostojnych osób
„Z ufnością smaży się w smole,
„On chce w wątpliwość podać piekieł rolę...
„Lecz znajdziem na niego sposób.

Spojrzał więc na mnie złowrogo
I rzekł po krótkim namyśle:
„Niech twoje losy będą odtąd ściśle
„Związane z stołową nogą.

„Będziesz obracał stół wszędzie —
Tak dalej rzecz ciągnął szatan —
„Gdzie pierwszy lepszy nieuk lub szarlatan
„Do tańca z tobą zasiędzie.

„Ktokolwiek tylko się uprze
„Z najpospolitszej gawiedzi,
„Będziesz zmuszony dawać odpowiedzi
„Na zapytania najgłupsze“.

„Łaski! — krzyknąłem — ach, łaski!
„Nie ujdę, jak widzę, kary,
„Lecz czyż na wieki mam cierpieć bez miary
„W ten sposób nędzny i płaski?!“

„Wiedziałem — czart się zaśmieje —
„Że ugnę twą hardą duszę,
„Lecz gdy cię widzę przystępnego skrusze,
„Przeto ci zrobię nadzieję:

„Gdy gusła i zabobony
„Nie znajdą w świecie czcicieli,
„Gdy każdy prawdę od błędu oddzieli,
„Będziesz od kary zwolniony“.

Poznałem, że drwił szkaradnie,
Cedząc te słowa łaskawsze,
I że mi w służbie ciemnych potęg zawsze
Obracać stoły wypadnie.

Wszelkie złudzenia zbyteczne,
Od kary się nie wykręcę:
Nic nie położy kresu mojej męce,
Bo głupstwo ludzkie jest wieczne.

W LOŻY.

Kiedy się na was zdaleka patrzę
Z okna mojego poddasza,
Myślę, że jestem w loży w teatrze,
Lecz sztuka nudzi mnie wasza.

Muszę się dziwić, że scena świata
Takich ma nędznych aktorów,
Że gdzieś przepadły dawne dramata,
Tęczowych pełne kolorów.

Widzę, że artyzm w życiu upada,
Że zamiast sztuki klasycznej,
Ciągnie się farsa nędzna i blada,
Godna gawiedzi ulicznej.

Pierwszych kochanków niema na scenie,
Ci są dziś anachronizmem,
Młodość straciła swoje płomienie
I żyje modnym cynizmem.

I bohaterów niema w zapasie,
Nie dla nich te wieki prozy:
Gdyby się zjawił który w tym czasie,
Poszedłby prosto do kozy.

I niema nawet tragicznej maski,
Niema wyniosłych zbrodniarzy,
Więc trzeba tylko sypać oklaski
Najzręczniejszemu z kuglarzy.

Choć kto przywdzieje klasyczne stroje,
Daremny zachód i praca:
Nic nie pomogą togi lub zbroje,
Znać przebranego pajaca.

Brutus w kawiarni gniewem się pieni
I ostrzy pióra na panów...
Zjadłszy w pałacu kawał pieczeni,
Staje się jednym z baranów.

A utyceński posępny Kato,
Dawnej tradycyi naprzekór,
Chce się ożenić bardzo bogato
I poszukuje synekur.

Koryolan za to broni zażarcie
Konserwatywnych swych zasad,
A pokonany żebrze o wsparcie
W przedsionkach obcych ambasad.

Grachus na chwilę nigdy nie spocznie,
W górę zadarty ma nosek.
Wspięty na palcach stawia corocznie
Przerażający swój wniosek:

„By wszyscy mieli wybierać prawo,
Nawet najniżsi z narodu,
Czy chcą na drugich pracować krwawo,
Czy wolą umierać z głodu".

Inny przybrawszy Focyona pozę,
Odkrywa duszy swej wnętrze,
Kreśląc przewrotnych dążności grozę,
Co burzą wszystko najświętsze;

Nad rodem ludzkim szaty rozdziera,
Biadając: że cnota ginie!
I spieszy, gdzie go czeka hetera,
Albo na karty w kasynie.

Ten hardy Rejten wyższe ma chęci,
Nie pójdzie w służbę koteryi,
I nawet dobro kraju poświęci,
By zyskać poklask galeryi.

Tamten przywdziewa zbroję Gotfryda,
Prawdziwym krzyżowcem się mieniąc,
Na niewiernego wyruszył żyda,
Rosnąc w znaczenie i pieniądz;

I wyzyskuje siew nienawiści,
Jako kondotier-demagog,
Gdyby zaś większe widział korzyści,
Na żołdby przeszedł synagog.

A bohaterscy Machabeusze,
Gdy ich przypadkiem sąd schwytał...
Bez zalęknienia oddadzą duszę
Za swoje bóstwo — kapitał!

Socyalistyczny trybun Pankracy,
Co w karczmie stały ma pobyt,
Naucza rzesze, że im mniej pracy,
Tem większy będzie dobrobyt.

Sokrates nową etykę stawia
Dla tych, co słuchać go warci,
Wielbi w niej wzniosłą wolność bezprawia,
Jeżeli nikt jej nie skarci.

Wstręt w nim powszednia moralność budzi,
I tłum do taczek przykuty...
Więc się wciąż truje w gronie nadludzi
Absyntem, w braku cykuty.

Tyrteusz wielki, natchniony epik,
Co wiódł spartanów do boju,
Założył modnych towarów sklepik
W najświeższym guście i kroju.

Kilku Hamletów duma przy flaszce,
I nie wie, gdzie się przyłączyć...
Gdyby mózg mieli w swej pustej czaszce,
Tragicznie mogliby skończyć!

Tymczasem świeczka po świeczce gaśnie,
Brzydko rzępoli muzyka,
Publiczność chrapie, a kto nie zaśnie,
Odwraca oczy i syka.

1896.

SONET.

Smutni rycerze przeżytej już chwili
Patrzą z boleścią, kiedy zastęp świeży,
Przeciw ołtarzom, które oni czcili
Zwraca się zbrojnie i kruszyć je bieży.

Napróżno serce tych dawnych rycerzy
Oprzeć się trwodze i zwątpieniu sili...
Gdyż widzą tylko to, co w gruzach leży,
I myślą tylko o tem, co stracili!

Poza walk dzikich zamętem i wrzawą,
Poza konaniem świata, co już ginie,
Nie mogą dojrzeć przeszłości obrońce

Tych, co dni nowych stawiają świątynie;
Ani nie wiedzą, patrząc w jutrznię krwawą,
Czy to pożarów łuna, czy też słońce [1]).

1896.

---

[1]) Przerobiony po latach 22 sonet ten, w swej pierwszej redakcyi, ogłoszony w *Bluszczu* z r. 1874, brzmiał, jak na następnej stronie.

Smutni synowie przebrzmiałej już chwili
Patrzą z boleścią, jak znów żywioł świeży
Przeciwko bóstwom, które oni czcili,
Zwraca się zbrojnie i kruszyć je bieży.

Napróżno serce tych dawnych rycerzy
Oprzeć się smutkom i zwątpieniu sili;
Bo widzą tylko to, co w gruzach leży,
I czują tylko to, co utracili.

Trudno im dojrzeć wśród zgiełku i szału,
Że ta grożąca ich świętościom burza
Oczyszcza z pleśni ołtarzów podnóża;

Że z każdym ciosem, co spada, pomału
Twarz bóstwa jaśniej z cienia się wynurza
I doskonalą kształty ideału.

ZŁOTY CIELEC.

Poszedłem zwolna w ślad olbrzymiej rzeszy,
Pędzącej szybko, jak wezbrana rzeka,
Aby zobaczyć: gdzie, i po co spieszy?

Więc, na wzniesieniu, ujrzałem zdaleka
Bożyszcze, które żeby uczcić godnie,
Wszelkiej czci innej zgraja się wyrzeka.

Przystęp do niego torowały zbrodnie.
Gwałt, podstęp, kłamstwo, wyzysk i bezprawie
Za drogowskazy służyły przewodnie;

A ciała ofiar, ginących w niesławie,
Zasłały drogę, sącząc krwi kałuże,
Tak, żem się lękał, czy stóp nie okrwawię.

Przybyłem wreszcie pod błyszczące wzgórze,
Co całe w ogniach tęczowych się mieni,
W topazów złocie, w rubinów purpurze,

W cieniach szafiru, w szmaragdów zieleni.
Na niem, na złotym stojąc piedestale,
Kąpał się w blasku stubarwnych płomieni,

W kadzideł dymie i w bezczelnej chwale:
Bóg zwierzęcości, cielec szczerozłoty...
A tak mu oczu błyskały opale

I takie piętno żywej miał sromoty,
Że się w kruszcowej zdawał żyć powłoce
Nadprzyrodzonej żywotem istoty,

Wyposażonej w wszystkie ziemskie moce.
Na jego grzbiecie w łuk rzucona miękki,
Jakby czekając na miłosne noce,

Naga, lecz strojna w wszystkie ciała wdzięki
W bezwstydzie krasą jaśnieje kobiecą
Pani zmysłowej rozkoszy i męki.

Usta, uśmiechem rozchylone nieco,
I tajemniczą kuszące rozkoszą,
Ściegiem perełek w warg koralu świecą

I o płomienne pocałunki proszą.
Ciemne źrenice, pod powiek osłoną,
Iskrami spojrzeń dziwny żar roznoszą,

I jako światła, skryte w głębiach, płoną
Przymglonym blaskiem, który wskroś przenika,
I burzę pragnień wzniecając szaloną,

Kogo dosięgnie, zmienia w niewolnika.
Włos płomienisty, sypiąc się w nieładzie,
Złotem perłowe białości przetyka,

Na żywy marmur ton gorący kładzie.
Pierś Afrodyty: nie ta, nieruchoma,
Jaką w klasycznej rzeźbiono Helladzie,

Lecz falująca róż pączkami dwoma
Na kręgach mlecznej białości, co drżące,
Wrzącej krwi fala podnosi, kryjoma.

Na piersi wielkie, brylantowe słońce
Pod sznurem pereł, pieszczących jej szyję
Barwnych iskierek rozrzuca tysiące

I łuną świateł fosforycznych bije.
Zamiast przepaski lub osłony wszelkiej,
Wąż szmaragdowy przez biodra się wije,

Niby żyjący jeden klejnot wielki,
Zielonawemi płomykami błyszczy
Na śnieżnem ciele wiecznej kusicielki.

Dokoła owych bezwstydnych bożyszczy,
Na wzgórzu, śmierci usypanem dłonią,
Z pokoleń kości i ruin i zgliszczy,

Niezmierne tłumy cisną się i gonią,
Pijane żądzą użycia zwierzęcą,
O bożka złota zazdrosne i o nią.

Wzajem się kuszą i wabią i nęcą,
Zaprzepaszczając człowieczeństwo swoje
W kulcie, co orgią wyuzdaną święcą.

Odurzające leją się napoje,
Woń przenikliwa upaja i drażni...
Kwiaty, brylanty i nieskromne stroje

Budzą stępiony popęd wyobraźni.
Pełno kobiecych obnażonych ramion,
Piersi, rzuconych widzom bez bojaźni,

Na których lśnią się, zamiast hańby znamion,
Kosztowne z drogich kamieni obroże,
A każdy brylant jakąś zbrodnią splamion,

A każdą perłę wyrzuciło morze
Łez i krwi ludzkiej, a zgarnęła pycha,
Żeby ją cisnąć na nierządu łoże.

Jakaś muzyka przejmująca, cicha,
Łechcąca nerwy tajemną pieszczotą,
Miłośnie szemrze i namiętnie wzdycha.

Leje się wino, połyskuje złoto;
Żywiej falują owe łona śnieżne,
Oczy przyćmione pożądań tęsknotą,

Płonące wargi, omdlenia lubieżne,
Zalotne śmiechy, wabiące okrzyki,
Wzniecają samców instynkta drapieżne.

W takt kołyszącej rozkosznie muzyki
Ciała się ludzkie kołyszą, jak płazy,
Przy dźwiękach fletni... Namiętny i dziki

Taniec swawolne przesuwa obrazy
I wirem, który szybkość swą podwaja,
W szał bałwochwalczej wprowadza ekstazy.

Szaleje cała rozpasana zgraja,
Do dna złocistą wychylając czarę,
Która ją winem występku upaja:

Więc wstyd dziewiczy i małżeńską wiarę,
Uczciwość, honor i człowiecze imię,
Bożyszczom swoim składa na ofiarę.

Te, w blasku chwały i kadzideł dymie,
Pojąc się tłumnej rozpusty oddechem,
Zdają się kształty przybierać olbrzymie,

Oddychać chucią i potężnieć grzechem.
Tryumfująco a razem złowrogo
Królowa sromu spogląda z uśmiechem

Na tłum czcicieli, zgiętych pod jej nogą,
I tak ich żądze zmysłowe poduszcza,
Że z pod jej władzy wyrwać się nie mogą.

Tymczasem nowa nadciągnęła tłuszcza...
Jakieś wpół dzikie, barbarzyńskie szczepy,
Które jałowa wyrzuciła puszcza,

A niegościnne odepchnęły stepy,
Wraz z rodzinami, co za sobą wiozą,
Zbrojne w topory, maczugi, oszczepy.

Dotarły tutaj... i przejęte zgrozą
Stoją przed sceną zmysłowych nadużyć,
Przed tą sromotnych bóstw apoteozą.

Czoło ich groźnie zaczyna się chmurzyć,
We wzroku wzgarda przebłyskuje sroga
I krzyk się wznosi: „Chodźmy, bracia, zburzyć

Sprośne bałwany w imię prawdy, Boga,
Co zdał nam w ręce przybytek nierządu,
I czci prawdziwej odstępcę i wroga!

Oto wybiła dziś godzina sądu,
Która potęgę bałwochwalstwa skruszy
I świat oczyści z wszeteczeństwa trądu!“

Tak krzycząc, zbrojny zastęp się poruszy,
Jak piorun lecąc na występne stado,
Co w przerażeniu stanęło bez duszy,

Niezdolne nawet skryć się przed zagładą.
Padają grzechu kapłanki i sługi,
Jak zżęte kłosy na ziemię się kładą,

Powabne główki druzgocą maczugi,
Pieszczone członki topór tnie na ćwierci,
Krwi rubinowej rozlewając strugi

A oszczep łona liliowe przewierci...
I nikt nie uszedł przed rzezią morderczą:
Dokoła wszędzie jedno żniwo śmierci.

Porozrzucane stosy trupów sterczą...
Tylko sam jeden złoty cielec, z góry
Ócz opalami błyskając szyderczo,

Spokojnie patrzy na obraz ponury;
I ta na grzbiecie jego piękność naga,
Od krwi przelanej kraśniejąc purpury,

Spojrzeniem swojem o litość nie błaga,
Lecz zbrojna w tajnych rozkoszy ponętę
Świeżych uwielbień i czci się domaga.

Próżno szły ku niej zastępy zawzięte,
Co poprzysięgły zwalczyć kult szatana,
I zburzyć owe ołtarze przeklęte.

Na próżno horda, jeszcze krwią pijana,
Wzniosła topory... W ogniu jej spojrzenia
Broń wypuściła... ugięła kolana...

I z napastników w czcicieli się zmienia.
Znowu na miejscach, gdzie krew dymi świeża,
W gorączce złota, w szale upojenia,

Łupy zdzierane z pobitych odmierza,
I dawne orgie swoich ofiar wznawia,
Czcząc nierządnicę i złotego zwierza!

A te wszechwładne bożyszcza bezprawia
Jaśnieją w nowej świetności i chwale,
Wśród tłumu wiernych, co je znów wysławia.

Tak coraz nowe napływały fale
Ras, szczepów, plemion; coraz świeża warstwa
Z głębin społecznych wznosi się zuchwale

I we krwi ludzkiej chce szukać lekarstwa
Przeciw zarazie, która ludy plami,
I jak rak toczy największe mocarstwa.

A jednak zawsze kolejno ci sami,
Co na występek podnieśli żelazo,
Gdy przed zdradnemi stanęli bożkami,

Które im były wstrętem i odrazą,
Łamali ducha w górę rwące skrzydła
I w kał padali dotknięci zarazą.

*

Widząc, jak wiecznie owa moc przebrzydła
Wzlotom pokoleń gotuje upadek
I wciąga w pokus zastawione sidła,

Chciałem zawołać, przerażony świadek
Tej krwawych zdarzeń wijącej się wstęgi,
Wciąż wracających dziejowych zagadek:

„Mijajcie zdala! te zaklęte kręgi,
„Które, jak wiry przepaścistej toni,
„Niepokonanej przemocą potęgi

„Wciągają śmiałków, co się zbliżą do niej!
„Zostawcie zgraję, co bałwanom służy,
„Za złotem dąży, za rozkoszą goni:

„Sama utonie w występku kałuży!
„Ród bałwochwalczy własnym jadem zginie!
„Bałwany padną, choć ich nikt nie zburzy!

„Gdzieindziej cnocie stawiajcie świątynie!
„A może nadejść odkupienia era,
„Gdy prawdy Boga czcić będziecie w czynie!“

Lecz głos mój w głuchej przestrzeni zamiera,
Nie budzi tłumów uwagi, ni echa...
A cielec złoty z tryumfem spoziera...

A kusicielka jak sfinks się uśmiecha...

21 października 1896

BOLESŁAWOWI PRUSOWI.

Niechaj pracownik nie żali się cichy,
Gdy ziarno myśli wciąż rzucając świeże,
W oklaskach tłumu i błyskotkach pychy
Za trud swój głośnej zapłaty nie bierze.

Rozgłos i sława przemija tak marnie,
Jak tuman pyłu, którym wicher kręci...
Choć nagle cały widnokrąg ogarnie,
Znikając z oczu, znika i z pamięci.

Opada fala uwielbieniem wrząca,
I tych, co w górę wyniosła na sobie,
Po krótkiej chwili znowu na dół strąca,
I grzebie żywcem w zapomnienia grobie.

Powoli nawet dźwięk imienia głuchnie,
Zgłuszą go nowi tłumu ulubieńce,
I w bezimiennem rozsypią się próchnie
Oznaki hołdów i laurowe wieńce.

Zginą od prądów chwilowych zawiśli
Za widmem sławy goniący sztukmistrze,
Lecz nie zaginie siew szlachetnych myśli,
I nie przepadną natchnienia najczystsze.

Choć pracownika noc otoczy głucha,
Wyrosną kwiaty na cmentarnej grzędzie,
I nieśmiertelna cząstka jego ducha
W sercu pokoleń późniejszych żyć będzie.

A nowych czasów dążenia i czyny,
Co nieświadomie zeń początek wiodą,
Te niewiędnące dając mu wawrzyny,
Będą dla niego najwyższą nagrodą!

1896.

MYŚLI ULOTNE.

I.

Bellerofon, gdy Meduzy głowę
Odciął jednym zamachem żelaza,
Ujrzał z krwi jej powstające nowe
Dwa zjawiska: lotnego Pegaza
I Chimerę, która w pierwszym skoku
Ani chwili nie dotknęła ziemi,
Lecz w różowym zniknęła obłoku,
Ziejąc w koło ogniami złotemi.
Odtąd służy ten rumak skrzydlaty
Do wycieczek w ponadziemskie światy,
A Chimerę w nieskończonej toni
Serce ludzkie zawsze jeszcze goni [1]).

---

[1]) Zob. Sfinks, 1908. IV. Józefowa Kotarbińska. Ze wspomnień o Adamie Asnyku.

II.

Jeżeli życia twojego ścieżka
Zawiedzie ciebie w gaje kwieciste,
Jeżeli szczęście z tobą zamieszka
Niosąc ci wszystkie rozkosze czyste;

Jeśli nie doznasz nigdy zawodów
W tem, co najdroższem dla siebie zwiesz,
Korzystaj z życia weselnych godów,
Patrz w jasne niebo, kochaj i wierz.

Lecz pomnij, że ta szczęśliwość cała
Snem będzie tylko, co zmysły pieści,
Jeśli nie będzie z ciebie spływała
Na cudze smutki, łzy i boleści.

III.

Ten jest prawdziwie samotnym na ziemi,
Kto nawet współczuć nie umie z drugiemi.

IV.

Kto się waha, z obawy, że myśl, co w nim drzemie,
Straci na swej piękności, zstąpiwszy na ziemię,
Przejść przez wszystkich walk ludzkich i zawodów
[stopnie,
Ten zwiędnie w pożądaniach, niczego nie dopnie.

V.

Nie rozumiemy z ludzi nikogo
I właśnie dla tej przyczyny,
Swych bliźnich zawsze sądzimy wrogo
Myśli, uczucia i czyny.

I siebie samych pojąć nam trudno,
Więc znowu z tej samej racyi
Nad swoją rolą, choćby obłudną,
Jesteśmy wciąż w admiracyi.

VI.

Skoro kto rzuci myśl nową
Opinia kręci swą głową;
Zaraz podnoszą się krzyki:
„Jakiż paradoks to dziki!
Dla ludzi i dla społeczeństw
Kryjący zbiór niebezpieczeństw“.
Lecz z czasem, gdy coraz dalej
Z tą myślą się spoufali,
Woła opinii trybunał:
„Ależ to prosty komunał!“

VII.

Wszystko przemija! Nawet ból i smutki.
I kiedy człowiek swego kresu blisko,
Spokojniej patrzy z swojej wątłej łódki
Na wściekłość burzy i fali igrzysko,
Inaczej sądzi sen żywota krótki
I walk namiętnych niknące zjawisko...
Serca nie szarpie rozpaczy mu żmija,
Bo już do brzegu cichego dobija.

VIII.

Czasami kult równości jest ukrytą chętką,
By się wynieść nad innych skutecznie a prędko,
I hasła wyrównania służą za piedestał
Temu, co w duszy równym tłumowi być przestał.

IX.

Wierzaj w serc ludzkich piękność idealną,
I tą pięknością karm się i napawaj
I rosę uczuć zbieraj niewidzialną;
Lecz swego szczęścia na próbę nie dawaj,
I nie doświadczaj tych uczuć trwałości,
Które ci sączą słodki sen miłości.

X.

Zranionym sercom potrzeba
Błękitów nieba,
Skrzydlatej modlitwy gońca,
Pogodnych uśmiechów słońca
Ciszy bez końca...

Lub burzy, która przygłuszy
Żrący ból duszy,
I czarnej, wyjącej nocy,
Co będzie osłonić w mocy
Ich płacz sierocy.

XI.

Ruszając w drogę w życia poranek
Widzimy w dali,
W mgle, co się pali,
Zwodnicze szczęścia obrazy,
Kwiatów oazy,
Cudne postaci niebianek.

Gdy dochodzimy do kresu drogi,
Cień spotykamy tylko złowrogi.
Za to za nami
Lśni się tęczami
Początek przebytej drogi.

14 stycznia 1896.[1])

---

[1]) Autograf w posiadaniu Lucyny Kotarbińskiej w Warszawie.

XII.

Kto nie umie z piersi własnej
Wysnuć uczuć tęczy jasnej
I miłością świat obdzielić;

Kto nie umie raju stworzyć
I w nim szczęściem drugich ożyć
I w ich losy swoje wcielić,

Ten, choć duszy swej nie splami,
Nie wyprosi niebios łzami
Jałowemi.

Odkąd z raju nas wygnano,
Trzeba kochać i kochaną
Być na ziemi. [1])

---

[1]) Jest to jeden z wierszy, pisanych na tekturowych paletkach dla protektorek balu na szkołę polską w Białej im. Asnyka.

XIII.

Nie baw się w bohatera!
Nadludzką nie błyszcz cnotą:
Kto w górę wciąż spoziera,
Ten łatwo wejdzie w błoto.

XIV.

Ten ma największe hojności porywy,
Komu fortuna odmówiła mienia;
A ten najbardziej bywa gadatliwy,
Co nie ma właśnie nic do powiedzenia.

XV.

Antysemityzm dziś już prowadzą handlarze,
Z których każdy dla siebie pewien zysk w nim widzi;
Skoro się interesem korzystnym pokaże,
Niezawodnie go ujmą w swoje ręce Żydzi.

XVI.

Dla serc szlachetnych najwyższą rozkoszą,
Gdy drugim radość w niedoli przynoszą.

XVII.

Na własne mroki najlepszą pociechą,
Zapalać światło pod ubogą strzechą.

XVIII.

Najczystszą dumą: gdy sami w potrzebie
Nic nie żądamy od świata dla siebie.

IV.

LIRYKA PATRYOTYCZNA I SPOŁECZNA.

PIERWIOSNKI.

Dziewczę pierwiosnki zbierało,
Wesołe piosnki śpiewało,
A głos jej płynął po rosie
W dalekim ginął rozgłosie.

Śpiewała o młodym maju,
Co się przechadza po gaju;
Jak zima przed nim ucieka,
A on jej grozi z daleka,
Rozrzuca jasność i kwiecie
I tak króluje na świecie.
Śpiewała o tej młodzieży,
Co się dziś bawi w żołnierzy;
Jak ją widziała po błoniu
Przelatującą na koniu;
Za co się bije, to nie wie,
Lecz dobrze życzy jej w śpiewie;
A dalej o Matce Boskiej,
Co się zjawiła wśród wioski,
I ludek ciemny poucza,
Co mu najbardziej dokucza,

I kto dla niego jest wrogiem,
I kto odpowie przed Bogiem.
Śpiewała dalej, że z czasem
Stanie lud cały pod lasem,
I pożałuje te dziatki,
Co giną, jak ścięte kwiatki,
Jako pierwiosnki narodu
Zawcześnie zeszłe wśród lodu;
Lecz przecie śniegi roztają,
Sioła się kwieciem umają,
I lud jak ze snu zbudzony
Stanie dla kraju obrony
I w wielką zebrany chmarę,
Pociągnie za kraj i wiarę.

Kiedy tak śpiewa, z za krzaków
Wypada sotnia kozaków,
I woła oficer dziki:
„Dziewczyno, gdzie buntowniki?
Pokaż nam drogę dziewczyno,
Niech te psy marnie wyginą!“
„Bóg cię ukarze moskalu —
Odpowie dziewczyna w żalu,
„Że na krew ludzką tak chciwy
„Krwią zlewasz spokojne niwy,
„I smutne kładziesz pokosy
„Zabitych na leśne wrzosy...
„Ja nie wiem, co to za jedni,
„Lecz znałam w wiosce sąsiedniej

„Matki okryte żałobą,
„Więc ich nie zdradzę przed tobą“.

Słysząc to starszy z siepaczy,
Dobył janczarki kozaczej,
I kulą posłał jej z dala
Odpowiedź godną Moskala.

A twarz dziewczyny pobladła,
U stóp leszczyny upadła,
Krwią się pierwiosnki oblały,
Na ustach piosnki skonały.

GAŁĄZKA JAŚMINU.

Tam, pod niebem południa palącem,
Szło ich dwoje pod mirtów alei,
Słów namiętnych rzucając tysiącem;
Lecz nie było tam słowa nadziei.
Pożegnanie ostatnie na wieki...
To trwa długo... i wstał księżyc blady,
A westchnienia powtarzał daleki
    Szum płaczącej kaskady.

Obcy młodzian opuszczał dziewczynę,
Co jak powój w jego serce wrosła,
I porzucał słoneczną krainę,
Lecąc na śmierć, gdzie rozpacz go niosła.
Więc targając serdeczne ogniwa
Czuł, że serce z swej piersi wydziera,
I że młodość ta jasna, szczęśliwa,
    W jej uścisku umiera.

Biedne dziewczę zrozumieć nie zdoła,
Że jest wyższa nad miłość potęga,
Że głos smutny, głos grobów anioła,
W jej objęciach go jeszcze dosięga,

Więc się skarży jak dziecię pieszczone:
— „O, niedobry, jak mnie możesz smucić!
„Twoje słowa mnie ranią szalone,
„Nie mów, że chcesz mnie rzucić!

„Cóż mieć możesz na ziemi droższego
„Nad mą miłość?... Gdy ta cię nie wstrzyma,
„Idź“... Tu głosu zabrakło drżącego,
I spojrzała smutnemi oczyma:
— „Patrz, me serce omdlewa mi w łonie,
„Łez mi braknie i w oczach mi ciemno...
„Masz tam ginąć gdzie w dalekiej stronie,
„To umrzyj razem ze mną!

„Tak, o dobrze! Nie będę po tobie
„Więcej płakać, ni gorzko się smucić,
„Ale razem w jednym spoczniem grobie,
„I nie będziesz już mnie mógł porzucić;
„Wieczność całą prześnimy tak błogo,
„I przebaczy nam Bóg miłosierny!...
„Ja prócz ciebie nie mam tu nikogo,
„A ty idziesz niewierny!?

„Nie chcesz umrzeć i nie chcesz żyć razem?...
„Idź szczęśliwy! Twa kochanka biedna
„Przed cudownej Madonny obrazem
„Szczęście tobie u Boga wyjedna.
„Teraz jeszcze mej prośbie serdecznej
„Uczyń zadość, bo cierpię ogromnie,

„Gdy pomyślę, że w rozłące wiecznej
„Możesz zapomnieć o mnie.

„Tyś tak lubił wonny kwiat jaśminu,
„Ja go odtąd na mem sercu noszę“...
I odpięła chusteczkę z muślinu
Mówiąc dalej: „Weź gałązkę, proszę,
„A ta druga na sercu zostanie,
„Mówić będzie o tobie, jedyny!
„Gdy nie przyjdziesz na moje wołanie,
„Łzą się zroszą jaśminy...“

I oparta na jego ramieniu,
Wpół zemdlona kwiaty do ust ciśnie,
I tak stoją oboje w płomieniu,
I ust dwoje na kwiatach zawiśnie,
Aż nareszcie wydarł się z objęcia,
I rzekł do niej: — „O, żegnaj mi droga!
„Gdy mię twoje nie zbawią zaklęcia,
„Spotkamy się u Boga!

„Ja nie mogę pozostać przy tobie,
„Choć twój jestem na wieki, dziewczyno!
„Bo mnie duchy wzywają w żałobie,
„Bym szedł z tymi, co marnie dziś giną.
„Słyszę okrzyk z krwawego zagonu,
„Słyszę matkę wołającą: Synu!
„Lecz zachowam, zachowam do zgonu
„Tę gałązkę jaśminu...“

PODRÓŻNI.

Przez włoskie wille nad morzem wiszące,
Ciągniemy rzesze senne i cierpiące,
Trochę tu niebios zaczerpnąć, i morza,
Gdy nam przybrakło ojczystego brzegu,
I skargi rzucać w gwiaździste przestworza,
Szukając w gajach oliwnych noclegu.
Gdzie w ciemne groty szafiry się leją,
Niebieskiem światłem olśniewać podziemie,
Gdzie burze przerwać milczenia nie śmieją,
I tylko ptastwo zabłąkane drzemie,
Przyszliśmy, grubą odziani żałobą,
Zazdrościć ciszy tym błękitnym grobom.
Gdzie góry biegną nad zwierciadłem fali,
Kąpać się w blasków różowych pogodzie,
Tuśmy wygnańcy ojczyzny wołali,
Na pełne morze odbijając łodzie,
A płynąc myślą w mgły przyszłości czarne,
Rwali cyprysy i róże cmentarne.
Witajcie! płynne otchłanie, swym szumem
Dokończcie dźwięków wydartych westchnieniem;

Wszak w nieskończoność toniem? wraz z tym [tłumem
Mar zatraconych za zgasłym promieniem,
A nieświadomi wybrzeża, gdzie staniem,
Spoczniem, za nowem czekając świtaniem.

1864.

W ZATOCE BAJA.

Cicho płyńmy, jak duchy,
Białe żagle nawiążmy;
Toń tak głucha, milcząca,
Fala o brzeg nie trąca,
Więc utajmy namiętne wybuchy,
I wzrok łzawy w ciemności pogrążmy.

Dzień już zapadł w otchłanie
I w posępnej pomroce,
Jako cienie przelotne
Pijmy rosy wilgotne,
Po srebrzystej ślizgając się pianie,
W tej przeszłością szumiącej zatoce.

Tu przed nami się czerni
Stary cmentarz dziejowy,
Gdzie ruiny dokoła
Śpią pod skrzydłem anioła;
Tu przystaniem grobowców odźwierni
I pochylim ciężące już głowy.

Może echa, co drzemią
W długim kolumn krużganku,
I marzenia, co legły,
Nim swej mety dobiegły,
Naszem przyjściem zbudzone pod ziemią
Dopowiedzą historyi poranku.

Pośród wonnych jałowców
Dumające widziadła,
Szepczą między zwaliska
Zapomniane nazwiska...
Pewnie przyjmą gościnnie wędrowców,
Nad którymi już przeszłość zapadła.

W Serapisa kościele
Złóżmy Lary rodzinne,
Może z nawy strzaskanej
Wyjdą słońca kapłany
Pytać się nas, co robim w popiele?
I czy słońce nie świeci nam inne?

A Kumejska Sybilla
Skryta w głębi pieczary,
Nad trójnogiem schylona
Krzyknie przez sen zdziwiona:
Czy się zjawił znów jaki Atylla?
Czy to tylko mordują Cezary?...

Przed prostylem Dyana
Trzyma księżyc nad głową,
Gdy nas ujrzy, pomyśli,
Że Niobidy tu przyszli,
I po łuk swój pobiegnie, zmieszana,
Tą kamiennej boleści wymową.

A pierzchając przez łomy
W liść rzeźbione akantów,
Będzie mniemać, że zdala
Stoi córka Tantala,
I w nią wlepia swój wzrok nieruchomy,
Przesłonięty potokiem brylantów.

Wróć się blada Hekate!
Bo ruina się skarży;
Fryz, odarty z ozdoby
Patrzy pełen żałoby;
Nie przyszliśmy po krwi swej zapłatę,
Ani chcemy zakłócać cmentarzy.

Zejdź więc gwiazdo Erebu
Tulić dalej straszydła;
Już piekielnych psów wycie
Głosi nasze przybycie;
My z własnego wracamy pogrzebu,
I pod twoje chronimy się skrzydła.

Rzuć ostatnie promienie
Nam na drogę podziemną;
Może za tem wybrzeżem
Acheronu, dostrzeżem
Naszych braci błądzące już cienie
I żałące się niebu, że ciemno!

1864.

PIJĄC FALERNO.

Dosyć łez, po co te smutki?
Czas się nareszcie rozchmurzyć,
Poranek życia tak krótki,
Trzeba go użyć.

Szczerością pewnie się zgubię,
Mimo to będę otwarty:
Dawniej kochałem... dziś lubię
Życie na żarty.

Com kochał?... razem z miłością
Pamięć rzuciłem za okno,
A resztki wspomnień z radością
W kieliszku mokną.

Jeżli to miłość dziewczyny,
Więc, by ukarać niewierną,
Usiadłem na łonie Fryny,
Pijąc Falerno.

* * *

Jeśli to... lecz daj mi pokój
Z bezpłodną ojcowizn schedą.
Lepiej ty Fryne prorokuj
Bachiczne Credo.

Rozkoszy stawmy ołtarze;
Pijacką miejmy bezczelność,
A może znajdziemy w czarze
I nieśmiertelność.

Zdziwim się, a przy wdzięczności
W piwnice pójdziemy rajskie,
Wybierać z beczek wieczności
Wina tokajskie.

Tymczasem do wniebowzięcia
Sposobiąc żądzę niezmierną,
W twoje się chylę objęcia,
Pijąc Falerno.

* * *

Winnice na grobach rosną,
A zatem z tych winogradów
Ożywim wenę miłosną
Prochem pradziadów.

Życie nad śmiercią przeważa,
Bo taka istnienia kolej;

Wypijmy zdrowie grabarza...
Wina mi dolej!

Kto jeszcze nie przestał szlochać,
Ten pewnie z własnej swej winy
Nie może już pić... ni kochać
Ładnej dziewczyny.

Niech się więc kruszy przed niebem,
Gotując się *in aeterno*:
Pójdę za jego pogrzebem,
Pijąc Falerno.

* * *

Kto mi przerywa?... to duchy...
Znane mi kiedyś przed chwilą...
Brząkają w swoje łańcuchy,
Mówić się silą.

Chodźcie tu, moi najszczersi!
Grzać się miłością i winem,
Wszak nieraz piersią przy piersi
Byliśmy czynem.

Dziś wy cieniami marnemi,
Skrwawione chylicie usta,
Mnie zaś tu trzyma do ziemi
Dziewczyna pusta.

Więc klnijmy w pijanym szale
Opatrzność niemiłosierną...
W łeb sobie jutro wypalę
Pijąc Falerno.

1864.

APOSTROFA.

Dałem ci żywot mój, to nie wiele!
Żywotów takich tysiąc dziś przepada,
Dałem ci miłość mą, o aniele!
Lecz cóż z miłości, co jak łez kaskada
Kołysze ucho twe w takt i pieści,
A w strofie życia piorunów nie mieści?...

Mamże jak Narcyz stać, wdzięczny sobie
I roznamiętniać się odbitym cieniem?
Grobu niesławę czcić na twym grobie,
Schlebiać ci tylko łzami i cierpieniem,
I gdy ci mieczów brak, nieść ci róże,
Co na Cezarów więdnieją purpurze?

O, precz mi z drogi tej! ja nie mogę
Płatnych służalców zwykłą iść koleją,
Ja widzę hańby znak, w oczach trwogę,
Ręce, co światu pogrozić nie śmieją;
Więc rzucam gniewu krzyk i wściekłości,
I grobu twego znieważam świętości!

Ja dla męczarni twych wzgardę czuję,
Bo ty frymarczysz krwią twą, Messalino!
Wierna przeszłości tej, co cię truje,
Gdy pokolenia całe bez czci giną,
Pod tryumfalny wóz zawleczona,
Gotowaś upaść liktorom w ramiona.

Spartaków wprzódy syn, niż twój czciciel,
Rachunku żądam od ciebie, przeklęta,
Przeszłości krwawych krzywd smutny mściciel
Pytam: gdzie? w bolach ludzkości poczęta
A przekazana myśl jednej tobie,
Arystodemów ty wdowo w żałobie!...

Miałaś przewodnią być gwiazdą ludom,
I na sąd wielki wieków wyprowadzić
Zastęp czarniawy tej, co dziś trudom
Wolnych poświęceń zdoła już poradzić,
Grachów zabitych sen w czyn zamienić
I ludzkość złotą jutrznią opromienić!...

Więc kiedy zdradzasz dziś, giń bez chwały!
Nie łez ci dłużnym, lecz urągowiska!
Czuję w wnętrznościach twych duch struchlały,
I w oczach twoich ogień już nie błyska;
Focyonów słuchać chcesz smutnej rady...
Więc tylko Baru powstajesz cień blady.

O nie tak, piękna ma! nie w arenie
Ku czci Cezarów, jak niewolnik, padać,
Ale się w węże strój i w płomienie
I idź sumienia narodów spowiadać:
Gorgony twarzą świeć zbrodniom w oczy,
Aż każda głazem pod nogi się stoczy!

Przez ludów ciężki znój! i przez mękę
Plemion dławionych wężem Laokona,
Ludowi swemu ty podaj rękę,
I w przyszłe wieki, pchnij się uwielbiona
I ofiarnicą bądź! dla przyszłości
Znacząc krwią, duchy wydarte nicości.

Niech pokolenie to gruzem legnie!
U wielkich natchnień dziejowych ołtarza,
Bo anioł Polsko twój! dalej biegnie
I szalę świata ku niebu przeważa,
I depcząc purpur tych krwawe szmaty,
Wolności ludom sypie złote kwiaty!

ODPOWIEDŹ.

Księżycowe nikłe tęcze,
Rozwieszone mgły pajęcze,
Na leciuchne tkać przędziwa,
Chore serca do snu tulić,
Blaskiem srebrnych snów rozczulić,
Jak kochanka pieszczotliwa;

Bladych dziewic wiotkie żale,
Stroić w świeżej krwi korale
I żałobne rzucać kwiaty,
I Filonów dniowe troski
W harmonijne przelać zgłoski,
Jak w motyli rój skrzydlaty.

Nogą oprzeć się na grobie
I uwielbić ludzkość w sobie,
I uwielbić się w ludzkości,
I każdemu, co dziś żywy
Oddać pokłon sprawiedliwy,
A spróchniałe uczcić kości:

To są jasne drogi wieszczów,
Co w ulewie krwawych deszczów
Przy swej wierze się ostali,
A zbawienia żądni świata,
Za ofiary i za kata
Rzeki gorzkich łez wylali.

Oni ziemię rozserdecznią,
Pamięć wielkich dzieł uwiecznią,
I swą pieśnią porwą duchy
W Elizejskie błogie pola,
Gdzie zapomną, że niewola
Wpiła w cielsko swe łańcuchy.

Więc za niemi i w ich ślady
Do błyszczącej gwiazd plejady,
Roztkliwione spieszcie cienie,
W harmonijnym westchnień szmerze,
Z aniołami wejść w przymierze
I zwiastować przebaczenie.

I wyjednać nam co czarni,
I skalani i poczwarni,
Długą mękę, co grzech gładzi,
I litości srebrne wieńce,
Rzucać na te potępieńce,
Co męczarni są nie radzi.

Lecz tu, w ciemnej piekieł kuźni,
Moc zuchwała niebu bluźni,
Butwiejące rwie całuny;
I narusza kość spruchniałą,
Chce ją ubrać w nowe ciało,
A uzbroić ją w pioruny.

Ezechiela wtórząc głosom,
Urągając się niebiosom,
Każe nowym duchom zstąpić,
I ożywić prochy łzawe,
Nowej śmierci dać na strawę,
A płomieni swych nie skąpić.

Więc się wichrzy, więc się kłębi,
W zatraconych światów głębi
Jadowita tryska piana;
Śród podziemnych prac mozołu,
Z grobowego wybiedz dołu,
Spieszy zgraja krwią zbryzgana.

Archanielskie bledną twarze,
Gdy na słońce się ukaże
Chciwość życia i zawziętość,
Co swą przyszłość chłonąc w płuca,
Starą, zgniłą krew wyrzuca,
I nie uczci żadną świętość.

A w namiętnych rwąc poskokach,
Nie w pokutnych długich zwłokach
Jasne zyskać chce męczeństwo,
Lecz toruje nowe drogi,
Lecz gliniane wali Bogi,
Gwałtem bierze człowieczeństwo.

Takim duchom więc przystało
Nie przebrzmiewać dawną chwałą,
Lub dziękczynne hymny głosić;
Lecz w zawodów ciągłej kaźni,
Bez litości, bez bojaźni,
W niebo wściekłą pięść podnosić.

I rozpalać gniewu burze,
Błyskawice rzucać duże
I panować zawieruchom;
Z grobu kości powywlekać,
I nad niemi sąd oszczekać,
I spokoju nie dać duchom.

Neapol w październiku 1864.

NA NOWY ROK.

Słyszycie! północ już bije,
Rok stary w mgły się rozwiewa,
Jak sen przepada...
Krzyczmy: Rok nowy niech żyje!
I rwijmy z przyszłości drzewa
Owoc, co wiecznie dojrzewa,
A nie opada.

Rok stary, jak ziarnko piasku,
Stoczył się w czasu przestrzenie;
Czyż go żałować?
Niech ginie! bez łzy, oklasku,
Jak ten gladyator w arenie,
Co upadł niepostrzeżenie,
Czas go pochować.

Bywały lata, ach! krwawsze,
Z rozpaczy jękiem lecące
W przeszłości mrok,

A echo powraca zawsze,
Przynosząc skargi palące...
Precz z smutkiem! Życzeń tysiące
Na Nowy Rok!

Z pod gruzów rozbitych złudzeń
Wynieśmy arkę rodzinną
Na stały ląd!
Duchowych żądni przebudzeń,
Potęgą stańmy się czynną,
Bacząc, by w stronę nas inną
Nie uniósł prąd.

Rozumu! niezgiętej woli,
Prawdziwej duchowej siły
I serc czystości!
A Bóg nam stanąć pozwoli,
I z naszej skromnej mogiły
Dzieci się będą uczyły:
Jak żyć w przyszłości.

W olbrzymim pokoleń trudzie
Bądźmy ogniwem łańcucha,
Co się poświęca;
Nie marzmy o łatwym cudzie!
Najwyższy heroizm ducha
Jest walką, co nie wybucha,
Pracą bez wieńca.

Uderzmy w kielichy z winem
I bratnie podajmy dłonie,
Wszakże już czas!
Choć różni twarzą lub czynem,
Niech nas duch jeden owionie,
Niech zadrży miłością w łonie
I złączy nas!

Bo miłość ta, która płynie
Z poznania ziemskiego mętu,
Jest światłem dusz!
Choć Bogu wznosi świątynie,
Potrafi zstąpić bez wstrętu
I wyrwać słabych z odmętu
W pośrodku burz.

Niech żyją pierwsi w narodzie!
Jeżeli zawsze są pierwsi
I w poświęceniu.
Gdy z czasu potrzebą w zgodzie,
W szlachetnym czynie najszczersi,
Swą dumę umieszczą w piersi,
A nie w imieniu!

I ci, co żadnej spuścizny
Na grobie matki nie wzięli
Prócz łez, niech żyją!

Jeżeli miłość ojczyzny
Jako synowie pojęli,
I na wyłomie stanęli,
Gdzie gromy biją.

Spełnijmy puhary do dna
I życzmy sobie nawzajem
Szczęśliwych lat!
Niech myśl powstanie swobodna
I światło błyśnie nad krajem!
Bogu w opiekę oddajem
Przyszłości kwiat.

Tych naszych braci, co cierpią,
Miłością naszą podnieśmy
Męczeński ród.
Niech od nas pociechę czerpią,
Nadzieję w ich sercach wskrześmy,
Wołając: jeszcze jesteśmy,
Niech żyje lud!

1867.

PAMIĘCI JÓZEFA P...

Byłeś jednym z tych ludzi nielicznego koła,
Co wierni ideałom, pod nogą nie czują
Ziemskiego błota, dotknięciem się trują.
Ludzi palącej myśli i bladego czoła,
Co rażeni w kolebce spojrzeniem anioła,
Jak błędne cienie po ziemi się snują.

A wyzwolenia z męki czekając serdecznej,
Jak stracone pikiety wielkiej armii ludów
Idą, niepostrzeżeni dokazują cudów,
Ginąc bez echa w niepamięci wiecznej.

Przebiegłeś swoją metę, jak rycerz bez trwogi,
Bez skargi, bez pociechy; ani twemu oku
Odsłoniła się przyszłość w ognistym obłoku,
Jak ostatni sakrament do ostatniej drogi.

Do twojego grobowca nie zstąpi cień sławy,
Co po podziemiach zbiera swoje ulubieńce,
A pruchniejące kości strojąc w lauru wieńce,
Na zasiew światu rzuca ich proch krwawy.

Śpij cicho, fala życia leniwo się toczy
Dla tych, co sztandar walki chcą zatknąć przy
[zgonie
I nieśmiertelność, którą czują w łonie,
Przekazać pokutnicy, co w popiołach kroczy,
A którą oglądali w tęsknocie proroczej,
Królową ludów, zwycięską w Syonie.

1864.

PROŚBA.

O mój Aniele ty rękę
Daj!
Przez łzy i mękę,
Przez ciemny kraj,
Do jasnych źródeł ty mnie doprowadź,
Racz się zlitować!

Serce me zwiędło, jak marny
Liść,
Wśród nocy czarnej
Nie wiem, gdzie iść,
I po przepaściach muszę nocować,
Więc ty mnie prowadź.

To, com ukochał, com tyle
Czcił
Zdeptane w pyle
Padło bez sił,
Rozpacz i hańbę widząc po drodze,
Stanąłem w trwodze:

Widziałem zbrodni zwycięski
Szał,
Widziałem klęski
Duchów i ciał;
Więc obłąkany boleścią chodzę
We łzach i trwodze.

I nie wiem teraz, w co wierzyć
Mam?
Jak dzień mój przeżyć
W ciemności, sam,
Nie wiem, czy zdołam wytrwać niezłomnie,
Więc ty zstąp do mnie!

Lękam się zstąpić z zwątpieniem
W grób,
I z utęsknieniem
Do twoich stóp
Chylę się z prośbą i nieprzytomnie
Wołam: zstąp do mnie.

Pokaż mi tryumf w przyszłości
Dniach,
Tryumf miłości
Kupiony w łzach,
I ludu mego zwycięztwo jasne
Pokaż nim zasnę!

Pokaż mi ciszę wschodzących
Zórz,
Zmartwychwstających
Królestwo dusz,
A dbać nie będę o szczęście własne,
Spokojny zasnę.

TOAST W POZNANIU.

Chwilę tylko w braterskim złączeni uścisku
Spoczęliśmy na sercach wielkopolskiej braci;
Ale dosyć nam było przelotnego błysku,
By ten węzeł jedności, co nigdy nie traci
Swojej mocy pomimo nieszczęść i rozdziałów,
Wzmocnić teraz uczczeniem wspólnych ideałów.

Dosyć było nieznanej dotychczas rodzinie,
Połączyć swoje dłonie i z oczu wyczytać
Tajemnicę braterstwa, co z serc w serca płynie,
By się o nie nie troszczyć i o nic nie pytać,
Ale wszystko odgadnąć z pierwszego wejrzenia,
I łzami wypowiedzieć dzieje pokolenia.

Zdawało się na chwilę: że to cud prawdziwy!
Że jasna przeszłość z grobu wiekowego wstała,
I przyszła błogosławić naród wiecznie żywy
W garstce, co się nad Warty brzegami spotkała,
I że królewskie cienie śpiących tutaj Piastów,
Słuchały rozjaśnione wzniesionych toastów!

I chociaż to sen tylko, żeśmy połączeni,
Choć ta mara całości wraz z rozstaniem pryska,
Jednak dla ducha niema granic i przestrzeni
I miłość do jednego skupi nas ogniska,
Gdzie przechowując skrzętnie cnót ojczystych zaród,
Nie zapomnim: że jeden stanowimy naród.

Połączyła nas dziwna braterstwa potęga!
Której z naszego łona przemoc nie wydarła:
Dziś widzim, jak daleko poza grób swój sięga,
Więc choć nam powiadają: „Ta ziemia umarła",
To my, czując, jak polska wydziera się dusza,
Wołamy jednomyślnie: „Jednak się porusza".

Ta myśl, którą wynosim z naszego spotkania,
Ta wiara w polskie serca, której nic nie zmieni,
Niechaj będzie zarazem słowem pożegnania
Od tych, co Was kochają, jak bracia rodzeni,
I w ostatnim uścisku, w cichej łez wymowie,
Wznoszą po raz ostatni: Wielkopolski zdrowie!

PIOSNKA PIJAKA.

Na trzeźwo nie mogę żyć!
Więc się upijam od rana
I zawsze z pełnego dzbana
Do nocy wciąż muszę pić;
Za każdym kielichem wina
Piękniejszym staje się świat,
I urok młodzieńczych lat
Wstępować w serce zaczyna.

Zaledwie wypróżnię dzban,
Piosenkę znajduję na dnie,
A ona dźwięczy tak ładnie
Wśród moich samotnych ścian!
Rozjaśnia duszę pogodą
I z serca zdejmuje pleśń:
Wesoła, swobodna pieśń
Fantazyę wskrzesza mi młodą.

I słyszę kochanki głos,
Pierwsze miłosne zaklęcia,

I chwytam dzban mój w objęcia
Padając na flaszek stos:
Zdjętemu błogiem marzeniem
Zda się, że wracam znów
Do jasnych młodości snów
Ponad srebrzystym strumieniem!

Po kwiatach sączy się zdrój
A wietrzyk roznosi wonie,
Pierś ogniem szlachetnym płonie,
Chcę wznowić rycerski bój,
W dobranym braci orszaku,
Ochoczo biegnę na szturm,
I słyszę w odgłosie surm:
„Zwycięstwo przy białym ptaku!“

Pospieszam co zdąży koń,
I u nóg kochanki klęczę,
Ona z obłoków rwie tęczę
I moją ozdabia skroń;
W rodzinne przychodzę strony
I witam rzucony dom,
I matki radośnym łzom
Powierzam zdobyte plony...

W pośrodku ojczystych pól...
Lecz tu się sen mój ucina;
Fantazyi, gdy braknie wina
Powraca zgłuszony ból,

Każda odnawia się rana,
Na trzeźwo nie mogę żyć...
A więc pozwólcie mi pić
Z mojego pełnego dzbana.

BEZIMIENNEMU.

Gdy jeszcze gościł na ziemi,
Źle mu w gościnie tej było,
Miał serca, serca za wiele,
I to go właśnie zgubiło.

Był jak ta harfa eolska,
Co drży za każdym powiewem,
Miotany na wszystkie strony
Miłością, bolem i gniewem.

Greckiego piękna kochanek,
Czciciel potęgi i czynu,
Marzył o duchach niezłomnych
I szukał ludzi wśród gminu.

I bratnie podawał dłonie,
I wierzył, że pójdą razem
Zbratani wielkością celu,
Spojeni krwią i żelazem.

Anioła widział w kobiecie,
Lecz ta mu serce rozdarła,
A bracia? ci go zawiedli,
Więc miłość ziemska umarła.

Kraj swój miłował rodzinny
Tęsknem uczuciem sieroty,
I wierzył w zwycięstwo ducha,
W tryumf wolności i cnoty;

Wierzył, że naród szlachetny
Nie ginie i nie umiera,
Że znajdzie w każdym swym synu
Mściciela i bohatera.

Więc kiedy ujrzał nareszcie
Rozwiane najświętsze mary,
Strasznego rozbicia świadek
Ostatniej pozbył się wiary;

A chociaż uszedł przed wrogiem,
Nie uszedł potwarzy ciosu,
I nie miał z kim się podzielić
Goryczą swojego losu.

I błądził wśród obcych ludów
Nieznany, samotny człowiek,
I umarł zdala od swoich,
I nikt mu nie zamknął powiek,

I nikt już o nim nie wspomni,
I jest już garścią popiołów,
A twarda ziemia wygnania
Na sercu cięży jak ołów.

1869.

J. I. KRASZEWSKIEMU.

U nas, gdzie przodownikom narodowej pracy
Trud ciężkiego żywota jedyną nagrodą,
U nas, gdzie oni idą kornie jak żebracy
Przed tłumem, co za sobą do przyszłości wiodą,
I siejąc ziarno myśli za wszystkie korzyści
Zbierać muszą zatruty owoc nienawiści.

U nas nie znajdzie lauru dla uczczenia głowy
Tego, co żył boleścią i życiem narodu;
Laur zresztą niepotrzebny, wieniec piołunowy
Więcej uświęca drogi twojego pochodu,
I większą ponad inne cześcią cię otacza,
Żeś wziął zapłatę godną polskiego tułacza.

Ten wieniec ci podano nieraz, bądź więc dumny!
Pełzającej mierności nigdy nim nie wieńczą;
Zapracowałeś ciężko na gniew bezrozumny
Niewygasłą miłością i wiarą młodzieńczą.
Możesz więc ze spokojem dług wdzięczności
[spłacać,
I jak dotąd, kraj myśli skarbami wzbogacać.

Co tobie po uznaniu, po uwielbień szmerze,
To zostaw tym, co wszystko wraz z oklaskiem
[tracą:
Ciebie wstająca Polska w nowy blask ubierze,
Boś całe pokolenia swą wychował pracą,
I niósł pochodnię prawdy wśród niechętnych syku,
Niezmordowany polskiej myśli pracowniku!

Dość ci na teraz hołdu, który niewidomie
W serc skrytości szlachetnem uczuciem wykwita,
Wszak tobie towarzyszy wśród walk na wyłomie,
Prawdy, dobra i piękna miłość niespożyta?
Ta wyda plon obfity i gdy polskie niwy
Błysną dojrzałem ziarnem, zbierzesz plon praw-
[dziwy!

MIEJMY NADZIEJĘ!

Miejmy nadzieję!... nie tę lichą, marną,
Co rdzeń spruchniały w wątły kwiat ubiera,
Lecz tę niezłomną, która tkwi jak ziarno
Przyszłych poświęceń w duszy bohatera.

Miejmy nadzieję!... nie tę chciwą złudzeń,
Ślepego szczęścia płochą zalotnicę,
Lecz tę, co w grobach czeka dnia przebudzeń,
I przechowuje oręż i przyłbicę.

Miejmy odwagę!... nie tę jednodniową,
Co w rozpaczliwem przedsięwzięciu pryska,
Lecz tę, co wiecznie z podniesioną głową
Nie da się zepchnąć z swego stanowiska.

Miejmy odwagę!... nie tę tchnącą szałem,
Która na oślep leci bez oręża,
Lecz tę, co sama niezdobytym wałem
Przeciwne losy stałością zwycięża.

Miejmy pogardę dla wrzekomej sławy,
I dla bezprawia potęgi zwodniczej,
Lecz się nie strójmy w płaszcz męczeństwa krwawy,
I nie brząkajmy w łańcuch niewolniczy.

Miejmy pogardę dla pychy zwycięskiej,
I przyklaskiwać przemocy nie idźmy!
Ale nie wielbmy poniesionej klęski,
I ze słabości swojej się nie szczyćmy.

Przestańmy własną pieścić się boleścią,
Przestańmy ciągłym lamentem się poić:
Kochać się w skargach jest rzeczą niewieścią,
Mężom przystoi w milczeniu się zbroić...

Lecz nie przestajmy czcić świętości swoje,
I przechowywać ideałów czystość:
Do nas należy dać im moc i zbroję,
By z kraju marzeń przeszły w rzeczywistość.

W 25 ROCZNICĘ POWSTANIA 1863 ROKU.

Ruchliwe fale czasu nie zatarły
Twych krwawych śladów, o nieszczęścia roku!
Dotąd w swej grozie posępnej zamarły
Ciężysz nad nami, i z przeszłości mroku
Przez lat szeregi kroczysz, widmo blade,
Wlokąc za sobą, jak całun, zagładę.

Wieleż to razy ciebie przeklinano
A z tobą marzeń zdradliwych ponętę;
Za każdą świeżą z ręki wroga raną
Zawsze twe imię wracało przeklęte
I zamrażało żywsze serc porywy
Krzykiem zwątpienia i bojaźni mściwej.

Z twoich doświadczeń czerpano nauki
I niewolnicze wysławiano cnoty,
Gaszono skrzętnie święty żar, dopóki
Męskim zapałem tchnęła pierś Heloty,
Sądząc, że lekiem najlepszym na rany
Jest gwałt polskiemu uczuciu zadany.

Za twoje grzechy Polskę z mieczem w dłoni
Z szat obnażono, jak jawno-grzesznicę,
I urągano, że praw swoich broni,
I z ran szydzono, i plwano jej w lice,
I z czci ją chciano odrzeć do ostatka,
Jakby to była nie ich własna matka!

Wszystko to w spadku zostało po tobie:
Grzeszne ofiary i grzeszniejsza skrucha,
Bunt tych, co widząc mdlejące już ciało
Śmieli doradzać samobójstwo ducha,
I więzy, które mocniej się nam wpiły,
I łzy palące... i wstyd... i mogiły...

A jednak pamięć obchodzimy twoją,
Jak ci, co dawno z niedolą zbratani,
Nieszczęściu w oczy spojrzeć się nie boją
I nawet z ciemnej wynoszą otchłani
Tę nieśmiertelną nadzieję, co zdala
Pracę pokoleń wiąże i utrwala.

My obchodzimy twą rocznicę smętną,
Bo dawnych zwycięstw święcić dziś nie śmiemy:
Niewolnik, hańby swej noszący piętno,
W rocznicę chwały ojców stoi niemy,
A tylko ta mu droga jest i święta,
W której sam skruszyć chciał krzywdzące pęta.

My obchodzimy w twem żałobnem święcie
Najbliższą z naszych dziejowych pamiątek,
I rycerskiego rapsodu zamknięcie,
Tego rapsodu, co jak krwawy wątek
Przebiegał dziejów pogrobowych kartę,
Zbrojąc wciąż serca pokoleń uparte.

Boś ty nie przyszedł jako klątwa nieba,
Ani nie spadłeś jak grom niespodzianie,
Lecz jak duchowa narodu potrzeba,
W krwawej wypadków wypłynąłeś pianie,
Aby ostatnim orężnym protestem
Zapisać w dziejach nieśmiertelne: jestem!

Ty byłeś dzieckiem ostatniem epoki,
Która tradycyę przechowując żywą,
Z dumnej przeszłości czerpała swe soki,
I wolnych marzeń snując wciąż przędziwo,
Ku zmartwychwstaniu stale naprzód biegła,
Tak jeszcze bliska... a tak już odległa.

Nad tą epoką jaśniał jeszcze w górze
Duch niepodległej ojczyzny widomy,
Jeszcze francuskiej rewolucyi burze
Świat wstrząsające rozrzucały gromy,
I biła na nią krwawych świateł fala
Z wojennych ognisk „małego kaprala".

To pokolenie, które wówczas wzrosło,
Dni listopada było niedalekiem,
I swoich ojców rycerskie rzemiosło
Z krwią wzięło w spadku, i wyssało z mlekiem
Żywą tradycyę krótkiej zwycięstw chwały,
I majestatu Polski zmartwychwstałej.

W cudownej przed niem spływały legendzie
Postacie wodzów, strojne w liść wawrzynu,
Wieszczów krwawiących swe piersi łabędzie,
I męczenników, rwących się do czynu,
Więzienia, groby, szubienice, krzyże,
I śnieżna, mroźna otchłań na Sybirze...

Więc silniej każde uderzało tętno,
I klątwa wieszczów na grunt padła żyzny
Budząc gniew, zemstę i boleść namiętną
Nad poniżeniem i hańbą ojczyzny.
I wszystkie serca zbroiły się harde
W niewolniczego żywota pogardę.

Jeszcze ten łańcuch duszącej niewoli
Nie zatamował męskiego oddechu,
Jeszcze męczeńskiej naszej aureoli
Nie tknęło błoto urągań i śmiechu,
I pokutnicze nie straciły tłumy
Ostatnich błysków narodowej dumy.

Nie było nawet podówczas w zwyczaju
W dyplomatycznej ślizgać się zabawce,
W lada koniuszym lub dworskim lokaju
Zaraz ojczyzny upatrywać zbawcę,
I tym, co jawnie wyparli się Polski,
Dawać na kredyt mandat apostolski.

Kiedy kto z wrogiem chciał wchodzić w konszachty
I stawiać złote zjednoczenia mosty,
Nie powiadano w gronie braci szlachty,
Że to mąż stanu, lecz że zdrajca prosty,
I nie wróżono nowej szczęścia ery,
Widząc na piersiach błyszczące ordery.

Jeszcze przybierać nie umiała Polska
Postaci gadu, co się u stóp czołga,
Wolała, żeby w drodze do Tobolska
Trupy jej synów unosiła Wołga,
Wolała ponieść ofiary najkrwawsze,
Niżby się miano wyprzeć jej na zawsze.

O! wtedy jeszcze nurtem tajnych koryt
Płynęły na świat idealne mary,
I nadawały cudowny koloryt
Tkanej przez losy przędzy życia szarej,
A na niebiosach jaśniał blask nadziemski,
Niby wschodzącej znów gwiazdy bethlemskiej.

Męki wygnania, tęsknoty sieroctwa,
Tonęły w wielkim mistycznym zachwycie;
Sny messyaniczne, natchnione proroctwa
Nad ziemią inne wytwarzały życie,
Gdzie rzeczywistość znikała z przed oczu
W gwiaździstem, sennem marzenia przeźroczu.

Pamiętam dotąd chwile owych wiosen,
Gdy serca nasze paliła tęsknota,
A bór nam szumem dębów swych i sosen
Śpiewał, jak stary pieśniarz Wajdelota,
Rycerskie pieśni dawnej przodków chwały,
Które nas czarem swoim upajały.

Pamiętam dotąd, jak nam szmer strumieni,
Słowików śpiewy, powiew kwiatów woni,
I zorza, która błękity rumieni,
I wszystko wkoło wciąż mówiło o Niej,
O nieśmiertelnej, co w grobowcu czeka
Na odwalenie kamiennego wieka...

A w piersiach naszych z każdą chwilą rosła
Miłość bezbrzeżna, wyłączna, jedyna,
Co na swych skrzydłach duszę w błękit niosła,
Jakby do matki stęsknionego syna,
Z wiarą, że w górze poza chmur zasłoną
Ujrzy ją znowu, jasną i zbawioną.

Myśmy ją wszyscy przed sobą widzieli,
Cudowną postać w złotej gwiazd koronie,
W niepokalanej czystości i bieli,
Ze zmaz obmytą przez anielskie dłonie,
Z twarzą podobną do Najświętszej Panny
I blask z swych włosów siejącą poranny.

Każdy ją wieńczył w własnych rojeń kwiaty
I jej piękności odczuwał inaczej,
Każdy w odmienne ubierał ją szaty,
Lecz nikt nie wątpił, iż po dniach rozpaczy
Nadpłynie w blasków różanych powodzi,
I swą pięknością cały świat odmłodzi.

Więc-eśmy ręce do niej wyciągali
Wołając: „Zstępuj z błękitów królowo!
„Krzywdy nędzarzów zważ na prawa szali,
„I sprawiedliwość wymierz im na nowo,
„Zawieś miecz pomsty nad fałszem i zbrodnią,
„I bądź ludzkości gwiazdą znów przewodnią“.

„My ci pod stopy ciała swe uścielem,
„Abyś stanęła na nich jak na tronie,
„I praw zgwałconych stała się mścicielem,
„Z błogosławieństwem wyciągając dłonie
„Ku tym, co cierpiąc niesłusznie skrzywdzeni
„Wzywają ciebie z czyśćcowych płomieni“.

„My nie dla szczęścia swego, nie dla siebie
„Nie pragniem, nawet nie żądamy dożyć
„Chwili, gdy z jutrznią zabłyśniesz na niebie.
„Chcemy na zawsze w prochu się położyć
„I za swe wiano wziąć niepamięć wieczną,
„Byleś Ty jasność rozlała słoneczną“.

To wszystko teraz w przepaść się zapadło
I już przeminął czas rycerskiej służby:
Z błękitów jasne zniknęło widziadło,
Umilkły wieszcze natchnienia i wróżby,
A burza nieszczęść strąciła nam z głowy
Nawet ostatni wieniec nasz, cierniowy.

Śpiewne serc głosy, idealne hasła,
Płomienne słowa, mistyczne zachwyty
Przebrzmiały, lampa cudowna zagasła,
Na ziemię runął ideał rozbity...
I w naszych oczach rozpadło się w gruzy
Tęczowe państwo romantycznej muzy.

Prąd czasu innem popłynął korytem,
Nastała nowa epoka żelazna,
Która wciąż ziemskim zaprzątnięta bytem
Niebiańskich widzeń słodyczy nie zazna,
I tylko w ziemi wnętrznościach się grzebie
Zajęta myślą o codziennym chlebie.

Uboga duchem i uczuciem skąpa
Dokoła cień swój roztacza ponury,
Ciężko po ciałach swoich ofiar stąpa,
I chciwą dłonią szarpiąc pierś natury
Pragnie zasłonę zedrzeć tajemniczą,
Za coraz nową zdążając zdobyczą.

Choć na chorągwi kładzie prawdy znamię,
I ludzkiej wiedzy skarbnicę bogaci,
Czynami swymi wiecznym prawdom kłamie,
I fałsz podaje w misternej postaci,
I jadem zbroi węże i padalce,
By zwyciężały w strasznej o byt walce.

Nastała nowa epoka, z obliczem
Nieubłaganem, lodowatem, chmurnem;
Jej bóg jest owym, niewzruszonym niczem,
Pożerającym swe dzieci Saturnem,
A jej religia, dziką tchnąca grozą,
Drapieżnej siły jest apoteozą.

Z nową religią nowi są prorocy,
Co słabszym niosąc wyrok unicestwień,
Głoszą królestwo gwałtu i przemocy,
I ewangelię plemiennych rozbestwień,
Jako pociechę wskazując w rozbiciu
Nędzę i nicość, i w śmierci i w życiu.

Pod ich chorągwie spieszą ludzie nowi
Widząc, że wiara przeszłości zawiodła,
Urągać czystych poświęceń duchowi,
Kruszyć braterstwa i wolności godła,
Przed złotym cielcem korzyć się tyranii,
Panmoskwicyzmu, albo pangermanii.

I u nas przyszło nowe pokolenie,
Wpatrzone w ziemię z chłodem i rozwagą,
Pragnące teraz na dziejowej scenie
Odgrzebać z gruzów rzeczywistość nagą,
Podstawę bytu, mniej od dawnej chwiejną,
By na niej znowu budować kolejno.

W twardej nieszczęścia urobione szkole,
Zrzekło się marzeń zdradliwych słodyczy;
Krępuje skrzydła młodości sokole,
W każdym porywie z siłami się liczy,
I wchodzi z prądem dziejowym w przymierza;
Biorąc w rachubę instynkt i moc zwierza.

Spragnione prawdy, za nią jedną goni,
Choćby nią miało zatruć czyste zdroje,
Gdyż pragnie świeżej doszukać się broni,
Z którąby mogło przyszłe staczać boje,
A w tej pogoni stopą nieoględną
Depcze wawrzyny, co na grobach więdną.

To pokolenie milczące i smutne,
Daleko myślą od dawnych odeszło;
Oskarża serca miłością rozrzutne
I lekceważy ich zasługę przeszłą,
Nie wiedząc nawet, ile w niej się mieści
Wielkich poświęceń, cnoty i boleści.

Myśmy przez piękność, sercami odczutą,
W dobra i prawdy chcieli wejść krainę,
A oto kończym nasze dni pokutą,
Zbyt śmiałych lotów opłakując winę...
Nie możem jednak bez goryczy patrzeć,
Widząc, jak chcecie ślad przeszłości zatrzeć.

Lecz chociaż droga nasza się rozchodzi,
A chłód wasz lodem spada nam na serce,
My błogosławim wam, rycerze młodzi,
Narodowego długu spadkobierce,
I na trud przyszłych, mozolnych wyzwoleń
Niesiem życzenia gasnących pokoleń.

Idźcie! jak światła przystoi czcicielom,
Oświecać drogi ludzkiego pochodu
Ku coraz wyższym i jaśniejszym celom.
Szukajcie prawdy dla swego narodu,
Ażeby przez nią posiąść mógł Helota
Stracone piękno i dobro żywota.

Lecz wiedzcie: prawda, której wy szukacie,
Jest jak Proteusz kryjący się zdradnie,
Który wciąż swoje odmienia postacie,
Gdy śmiały nurek w głębi go napadnie,
I pokolenia ciekawych żeglarzy
Coraz to nową odpowiedzią darzy...

PROLOG NA UROCZYSTE OTWARCIE NOWEGO TEATRU W KRAKOWIE.

Plaudite cives! Oto nowa scena
Otwiera muzom gościnne podwoje;
Ucieszna Talia, smutna Melpomena,
Prowadzą z sobą wdzięczne chóry swoje,
I owe deski przemienią cudownie
W ogarniającą cały świat widownię.

Cały świat uczuć, cała działań sfera
I starć namiętnych ukryte pobudki,
Zdrada, łamiąca pochód bohatera,
Dwojga kochanków sen o szczęściu krótki,
Kłamstwo i zbrodnia w zwycięskiej potędze,
Drżące przed prawdy wschodzącem światełkiem,
Wady, śmieszności i powszednie nędze,
Życie codziennym wypełnione zgiełkiem,
Wszystko tu w barwnej przesunie się tęczy,
Wybuchnie bólem lub śmiechem zadźwięczy.

Baw się narodzie! Scena ci ukaże
Znajome dobrze postacie i twarze,
I w wiernym nieraz zestawi odbiciu
Przy grozie dziejów, płaski komizm w życiu.
Więc ujrzysz na niej własne twoje syny,
Tych, co tragicznej noszą ciężar winy,
Tych, którzy duchem górują nad rzeszą,
Tych, co świat gorszą, i tych, co go śmieszą.

Kiedy zobaczysz króla Lira, który
Oddał swym córkom ziemię i koronę,
I wypędzony w łachmanie purpury
U niebios gromy przyzywa czerwone,
Wśród burzy, wziąwszy w rękę kij tułaczy,
Szaleje z gniewu, bólu i rozpaczy:
Może ci na myśl przyjdzie naród pewien,
Co nie na wiano dla swoich królewien
Rozdał królestwo, lecz wprost, gdy oszalał,
Władzę i ziemię brać sobie pozwalał;
I dziś z praw swoich królewskich wyzuty
W ciemnościach burzy, przy piorunów błysku,
Jak nędzarz ciągnie długie dni pokuty,
Wydany wzgardzie i urągowisku!

Baw się narodzie! Niech ci smutną dolę
Osładza tajne sztuki czarnoksięstwo,
Niech ci ukaże nowe czynów pole,
Na którem możesz wywalczyć zwycięstwo,

I niech przed okiem głodnego nędzarza
Obraz kwitnącej przeszłości odtwarza.
Niechaj satyra biczem swoim karci
Wszystkie instynkta nędzne, brudne, liche,
Niech śmiechem smaga tych, co śmiechu warci,
Niechaj piętnuje egoizm i pychę,
I obłudnikom zdziera maski z twarzy
I szpetne żądze z pięknych szat obnaży.

Baw się narodzie! Może wśród zabawy
Niejedna myśl cię szlachetna pokrzepi,
Może w przelocie cień Ojczyzny krwawy
Wzbudzi pragnienie, żeby było lepiej,
I dalsze drogi pochodu rozjaśni.
Może zobaczysz w czarodziejskiej baśni,
Wysnutej z podań ludowych legendzie
O tem, co było i o tem, co będzie,
Niby widzenie mgliste ideału:
Śpiącą królewnę na górze z kryształu,
Którą z rąk złego odbić czarodzieja
Trzem braciom słuszna jaśniała nadzieja;
Jak dwaj z nich w morze pobiegli płomieni,
I nie wrócili więcej, zwyciężeni...
Ale ten trzeci, najmłodszy, w siermiędze,
Oprze się pokus i czarów potędze,
I pnąc się zwolna, mimo straże gniewne,
Z snu zaklętego obudzi królewnę.

BEZ ODPOWIEDZI.

Nie znali nigdy, co to jest dostatek,
Lecz znali tylko, co trud i potrzeba;
Nieraz im brakło mleka w piersiach matek,
Nieraz im brakło na zagonach chleba.
Nie znali nigdy tej pomyślnej doli,
W której bez troski o jutrzejszą strawę,
Duch ludzki z mroku budząc się powoli,
Na światło oczy otwiera ciekawe,
Gdyż od kolebki czatowała bieda,
Co duszy dziecka rozwinąć się nie da.

Los im poskąpił wszystkich swoich darów,
I dał im środków do walki za mało...
Prócz życia trudów i życia ciężarów,
Jedno im prawo do życia zostało;
Jednak znosili swą nędzę cierpliwie,
Jako istnienia warunek niezmienny;
Marząc o przyszłem, a bogatszem żniwie,
Zapominali o trosce codziennej,
Żądając wzamian za pracę mozolną:
By im wraz z dziećmi wyżyć było wolno.

Lecz teraz próżne wszelkie wysilenia!
Żadna wytrwałość zbawić ich nie może,
Głód, ciała w żywe szkielety zamienia,
Kładąc w ciemnościach na zmrożone łoże.
Dziś nie o sytość, lecz o żywot idzie,
Gdyż to nie zwykłej nędzy widmo blade,
Lecz śmierć głodowa w całej swej ohydzie
Tysiącom rodzin zwiastuje zagładę,
W zimowej nocy wchodzi w ich mieszkania,
Przynosząc męki wolnego konania.

To śmierć głodowa! przy zgasłem ognisku
Zasiada, wlokąc całun lodowaty,
I matkom dzieci porywa z uścisku,
I nagie trupy zostawia wśród chaty,
I kroczy dalej w upiora postaci,
Rozpościerając gorączkowe dreszcze...
A zmarły wstaje, by zabijać braci,
Za krzywdy swoje mszcząc się w grobie jeszcze,
I rozszerzając zaraźliwe tchnienia,
Idzie do ludzi przemawiać sumienia.

A ci, co jeszcze wśród mogił zostali,
Aby oglądać męczarnie swych rodzin,
Trawieni ogniem, co wnętrzności pali,
Mierzą ostatek uchodzących godzin,
I patrzą w otchłań... szukając gdzieś na dnie
Nie uchwyconej ocalenia mocy,

Ale myśl w próżni kręci się bezwładnie,
I gaśnie w głuchej odrętwienia nocy....
I nic nie mogąc odnaleźć nędzarze
Chylą z rozpaczą wychudzone twarze.

Wiedzą, że wszędzie ta sama dokoła
Głodowej śmierci konieczność straszliwa,
Że brat ratunku udzielić nie zdoła,
Bo sam go teraz daremnie przyzywa.
Więc milczą, patrzą na śniegu posłanie,
Słuchają wiatru żałobnego wycia,
I w ciemność smutne rzucają pytanie:
„Gdzie jest ich prawo najświętsze do życia?
„Czemu są na śmierć skazani i za co?
„Gdy na chleb ciężką zarabiali pracą".

Kto im odpowie na ten wykrzyk głuchy?
Ludzkość zostanie w odpowiedzi dłużną,
Bo choć szlachetne poruszą się duchy
I miłosierdzie pospieszy z jałmużną,
Rzucone wsparcie nie rozstrzygnie w niczem,
I w niczem ciemnych pytań nie rozświeci,
I ziemia dalej z sfinksowem obliczem
Będzie pożerać pracujące dzieci,
A ludzkość będzie roztrząsać ciekawa,
Ten zgrzyt w harmonii społecznego prawa.

WŚRÓD PRZEŁOMU.

Na niebie odblask łun ognistych płonie
I ciemne noce opromienia krwawo,
Skrwawione widma wyciągają dłonie,
W poświcie wichru lecą z mgieł kurzawą,
Powietrze jęków wypełniając wrzawą;
Nad krwią przelaną, która świeżo dymi
Z ciemności kształt się wynurza olbrzymi...

Coraz wyraźniej z cieniu się wychyla,
Jak geniusz wschodnich powieści złowrogi,
Jak nowy Xerxes lub nowy Atyla,
Na tle czerwonem mordów i pożogi
Z wozu swym mieczem w świat zakreśla drogi,
A wysyłając hordy swe na rzezie,
Łańcuchy światu w podarunku wiezie.

Wyciąga rękę, a ta dłoń straszliwa
Po coraz nowe sięga wciąż zabory,
Na bój śmiertelny ludzki ród wyzywa,
Ten ród leniwy, rozbity i chory,

Co do podziemnej chce się ukryć nory,
Byle choć jedną przedłużyć godziną
Ten żywot zbiegów, co bez walki giną.

Ale naprróżno w strachu się poniża,
Czyha nań hańba, niewola, zatrata,
Rydwan zwycięzcy powoli się zbliża
I piersi ofiar dyszących przygniata;
Coraz to groźniej tocząc się wśród świata,
W dziejach ludzkości robi nowy przełom,
I ku straszliwym popycha ją dziełom.

Próżno się cofa i wzdryga i chowa:
W obronie życia musi dobyć miecze;
Mszcząc przeszłe winy Nemezis dziejowa
Strwożone ludy już za włosy wlecze,
A wszystkie prawa boskie i człowiecze
Padają w gruzy, więc iść naprzód muszą
Zabijać ręką... i myślą... i duszą...

Kości rzucone! już się losy ważą,
Losy narodów na wypadków szali,
I przyszłość świata z zasłoniętą twarzą;
Nieznane bóstwo na ognistej fali
Pośród rozruchu posuwa się dalej...
A przeszłość smutna, miesięczna i blada
Topnieje przed nią i w ciemność zapada.

Świat dawny tonie w legendowym mroku
Z całą rozwianą swoich marzeń tęczą,
Jak księżyc w czarnym nurza się obłoku
Pokryty siecią srebrnej mgły pajęczą,
I tylko po nim smutne skargi dźwięczą,
I tylko jeszcze jasność po nim błyska,
Co czarodziejsko oświetla zwaliska.

Na widnokręgu gasnących pokoleń
Snują się jeszcze idealne mary;
Brzmią dotąd hasła duchowych wyzwoleń,
Hymny poświęceń, braterstwa i wiary;
Jeszcze gdzieniegdzie jaki rycerz stary
Nad głową wznosi sztandar swój niezłomnie,
I na wyłomie ginie bezpotomnie!...

Jeszcze gdzieniegdzie jaki sługa boży
Chwałę zmartwychwstań głosi z nad mogiły,
W blask się wpatrując zachodzącej zorzy;
Ale już nowe, rozkiełznane siły
Światła niebiańskich widzeń pogasiły,
I nad mdlejącem dziś królestwem ducha
Noc się rozszerza, ponura i głucha.

W zaćmieniu ducha, w dzikich żądz zamęcie,
Pod tajemniczą ciemności zasłoną,
Nastaje nowych żywotów poczęcie,

Co rozdzierają macierzyńskie łono,
By mieć narodzin chwilę przyspieszoną,
I prędzej zgarnąć po przeszłości spadek,
I szereg ciemnych rozwiązać zagadek.

Tak więc ludzkością wstrząsają do głębi
Męki, konania i bóle porodu,
Rój nowych tworów wichrzy się i kłębi:
Zrodzone z matki nędzy, z ojca głodu
Straszliwe widmo dźwiga się ze spodu,
I gdzie zwycięzców dojrzy przy biesiadzie,
Dłoń im kościstą na ramieniu kładzie.

Gość nieproszony wciska się do koła,
Płosząc pijane zdobywców zachwyty:
„Zróbcie mi miejsce", grzmiącym głosem woła,
„Wy macie sławę, wielkość i zaszczyty,
„Wy ucztujecie, a jam nie jest syty!
„Dajcie mi zaraz waszą część grabieży:
„Wszystko, co macie, do mnie dziś należy!..."

„Co? wy własności chcecie być stróżami,
„Wy mi mówicie, że ja prawo gwałcę!
„Siła przed prawem! nauczacie sami,
„Ta sama słuszność w mieczu, co i w pałce...
„Ja waszą mądrość rozwijam i kształcę,
„I chcę mieć przystęp do uczty swobodny,
„Bo jestem silny... i chciwy... i głodny!"

Ten krzyk podziemne powtarzają chóry,
I po przepaściach huczy wciąż wymownie;
Tłum barbarzyńców dźwiga się ponury
I gwałtem wkracza na świata widownię,
Wstrząsając w ręku zapalone głownie,
Aby ślad swego pochodu na ziemi,
Ogniami zaraz znaczyć czerwonemi.

Na przedzie biegnie nagiem świecąc ciałem
Nawpół bogini, nawpół zalotnica,
Bachantka wiedza, dzikim tchnąca szałem;
W bezwstydny uśmiech przystroiwszy lica,
Tłumów namiętne pragnienia podsyca,
I wiodąc naprzód zbuntowane zgraje
Nowe swym uczniom przykazania daje:

„Precz z marzeniami dziecinnego wieku,
„Co ponad ziemskie wzlatują wybrzeża!
„Precz z urojonem anielstwem w człowieku!
„Górą konieczność, co losy odmierza
„Wedle sił, zachceń, i zmyślności zwierza!
„Precz z ideałem! dziś przewodzą światom
„Bóg ślepej woli... bóg chaos... bóg atom!..."

„W imię tej trójcy, w imię tej nicości,
„Która jak Saturn pożera swe plemię...
„Idźcie rozdzierać matczyne wnętrzności!

„Pługiem zniszczenia idźcie zorać ziemię!
„Zrzućcie z swych ramion obowiązków brzemię,
„Stargajcie więzy przesądów dziejowe,
„I burzcie starą społeczeństw budowę!...“

„Kościół, ojczyzna, własność i rodzina,
„Niech wszystko znika w wezbranej powodzi:
„Niech ginie wielkość, zasługa i wina
„Dawny dzień minął, nowy już nadchodzi!
„Wy go zwiastujcie, wyzwoleńcy młodzi,
„I zamieniajcie świat cały w pustynię,
„By nowe życie wzeszło na ruinie!...“

„Niech runie gmach ten społecznej obłudy,
„Chytrych kramarzy podpierany dłonią,
„Co blichtrem swobód wyzyskując ludy
„Własnego tylko samolubstwa bronią,
„I wietrzą zdobycz, i sięgają po nią...
„A gdy w niej szpony zatapiają sępie,
„Prawią o cnocie, sumieniu, postępie!...“

„Dość tej komedyi harmonii i zgody!
„Którą świat bawią wolności fałszerze,
„Gdy uciśnione sprzedają narody,
„I wchodzą w tajne z bezprawiem przymierze!...
„Dość hipokryzyi, co porządku strzeże,
„A wobec gwałtu korzy się i płaszczy,
„Ofiarom zionąc przekleństwa z swej paszczy!...“

„Precz z ową maską moralnego ładu,
„Co twarz rozpusty pokrywa skalaną;
„Precz z marzycielstwem nikczemnego gadu,
„Co kwiaty uczuć brudzi swoją pianą:
„Niechaj do walki z nagą piersią staną,
„Ludzie i czyny, myśli i uczucia,
„I mierzą głębię własnego zepsucia!...“

„Potrzeba formę rozkruszyć przeżytą,
„Gdy się w niej brudne robactwo zasklepi,
„I strumień życia w nowe pchnąć koryto,
„Gdzie będzie płynął i silniej i lepiej...
„Więc śmiało naprzód, wykonawcy ślepi!
„Bezwiednych potęg, co w ciemnościach drzemią,
„Burzcie kształt dawny i równajcie z ziemią!...“

DO SOKOŁÓW.

Do lotu, bracia Sokoły!
Rozwińcie skrzydlate hufce,
Gdzie blask jutrzenki wesoły,
Tam dążcie w swojej wędrówce,
Do ciał i duchów rozkwitu,
Do pełni ludzkiego bytu!

Zatoczcie nad naszą ziemią
Słonecznych polotów kręgi,
I budźcie tych, którzy drzemią,
Hasłem wskrzeszonej potęgi,
I tchnijcie ożywcze moce
W smutne dziedzictwo sieroce.

Z uczuciem szlachetnej dumy
Prowadźcie, o Przewodnicy!
Zwątlone, skarlałe tłumy
Do czystej życia krynicy,
Aby się rzesze napiły
Z źródeł młodości i siły.

Niech potężnieją ramiona!
Niech się rozrasta szeroko
Pierś silną wolą natchniona,
A męstwem zapłonie oko.
Cielesna niemoc niech znika,
Z nią nędzny duch niewolnika!

Z fizycznej siły wykwita
Sił wyższych czynność społeczna,
I mądrość w środki obfita,
I miłość ludzi słoneczna,
I wielkich poświęceń zdolność
Za wiarę, ojczyznę, wolność.

Więc naprzód, wierna drużyno!
W świetlanym kąp się błękicie,
A dla tych, co marnie giną,
Chcąc nowe wywalczyć życie,
Z niezłomną wolą postanów
Przemienić karły w tytanów!

SZCZĘŚLIWE LUDY!

Szczęśliwe ludy! gdy im w górze świeci
Wolnej ojczyzny widoma potęga,
Co darząc blaskiem najuboższe dzieci,
W podziemia nędzy i boleści sięga.

Szczęśliwe kraje! gdzie pokoleń praca
Nie idzie w niwecz wśród gromów i burzy,
Lecz gdzie czyn wszelki ojczyznę wzbogaca,
I gdzie myśl każda jej tryumfom służy.

Szczęśliwe ludy i szczęśliwe kraje,
Gdzie geniusz wodza, bohatera męstwo,
I żywot, który w ofierze oddaje,
Wielkim ideom zapewnia zwycięstwo.

Tam, nawet nędzarz, którego w proch zetrze
Zawziętość losu, głowę wznosi śmiało,
Gdyż w pierś wciągając rodzinne powietrze,
Oddycha szczęściem narodu i chwałą.

Tam, są szczęśliwi, co w niedoli mogą
Śnić, że ich dzieciom losy się uśmiechną,
I ze spokojem patrzeć w przyszłość błogą,
I o pomyślność oprzeć się powszechną.

WCIELENIE.

Ignacemu Pieniążkowi.

To, co niegdyś w ideału sferze
Snem jedynie było marzyciela,
Z biegiem czasu kształt widomy bierze,
I w dążenia ludzkości się wciela.

Jasną marę nieuchwytną wprzódy,
A tak pełną rajskiej szczęścia wróżby,
Wywalczają krwią i łzami ludy,
I do ziemskiej zaprzęgają służby.

Ów sen wieków, długo niedościgły,
Co rozjaśniał ciemne marzeń noce,
Staje nagle wśród świata zastygły,
I zamknięty w cielesnej powłoce.

Krótki tryumf! Po zachwytu chwili,
Jaka wieki oczekiwań płaci,
Ci rycerze, co za nią walczyli,
Nie poznają wielbionej postaci.

Widzą z żalem, że wszystko co w darze
Wniosła na świat wśród swego pochodu,
Krzywd i gwałtów z kart dziejów nie zmaże,
I ludzkiego nie nasyci głodu!

POBUDKA.

Szwerom

Precz ze zwątpieniem co łamie
I męskich pozbawia sił,
Niech targa skrwawione ramię
Łańcuch, co w ciało się wpił.

Precz z małoduszną rozpaczą,
Nie wolno rozpaczać nam!
Niech myśli zuchwale skaczą
Do niebios zamkniętych bram!

Niech biegną jak hufce zbrojne,
I sztandar rozwiną swój,
Niech spieszą na świętą wojnę,
Na wielki o prawdę bój.

Niechaj nas klęski nie straszą,
Niech hasło bojowe brzmi:
Za naszą wolność i waszą!
Za przyszłych braterstwa dni!

Choć jeden za drugim pada
Z czcicieli duchowych zórz,
Choć przemoc, odstępstwo, zdrada,
W ich łonie zatapia nóż,

Choć twierdza w gruzy się wali,
Choć płonie nad głową dom,
Nie dajcie zakuci w stali
Przystępu rozpaczy łzom!

Lecz oręż dobrawszy świeży,
W obronie człowieczych praw,
Ostatnia garstko rycerzy
Do końca swe czoło staw!

Duch ludzki wszak nie na wieki
W krwiożerczych zatonął snach,
I szydząc z jutrzni dalekiej
Uwielbił przemoc i strach.

Nie zawsze narodów pycha,
Bezmyślna władania chuć,
Przed siłą ugnie się cicha,
By w oczy ofiarom pluć.

Nie zawsze na cudze chciwa,
Będzie wśród przekleństw i skarg

Kuć drugim kajdan ogniwa,
Aż własny zakuje kark.

Powoli światło się wciska
I dalej posuwa w głąb...
A jak Jerycho w zwaliska
Od dźwięku runęło trąb,

Tak runie w świetlanej zorzy
Więzienia ponury gmach...
I ludzkość oczy otworzy
Po przykrych zbudzona snach.

Więc w naszym krwawym pochodzie
Zwątpienie i rozpacz precz!
Ze szczęściem ludzkości w zgodzie
Uchwyćmy duchowy miecz.

Chociaż nas wrogi opaszą,
Niech hasło bojowe brzmi:
Za naszą wolność i waszą!
Za przyszłych braterstwa dni!

ZAPOMNIJ O TEM!

Zapomnij o tem, żeśmy kiedyś żyli
Bezpłodnem życiem bez szczęścia i sławy;
Zapomnij o tej próżnych pragnień chwili,
Po której w piersiach ślad pozostał krwawy.
Zapomnij o tem, że fałszu służalce
Świętości nasze obrzucili błotem,
Żeśmy padali w rozpaczliwej walce...
Zapomnij o tem!

Lecz myśl jedynie, że ducha tęsknotą
Przedrzem się w czasów szczęśliwszych zaranie,
I że z nas każdy weźmie zbroję złotą
I w dniu zwycięstwa na wyłomie stanie;
Że miłość nasza nie zejdzie do grobu,
Lecz znów ożyje kiedyś w wielkim czynie,
I że nas szczęściem opromieni obu...
To myśl jedynie!

NA OBCHÓD SŁOWACKIEGO.

Poeto! oskarżono ciebie przed narodem,
Że kazałeś bezwładnym poruszać się bryłom,
I po swej śmierci niosąc pieśń jak sztandar przodem,
Prowadziłeś bezbronne zastępy na wyłom,
Gdzie bez nadziei zwycięstw lały krew obficie.
Jeśli to twoją winą? że budząca życie
Pieśń jak orkan wstrząsnęła śpiącą grobów ziemię
I na chwilę zwiększyła naszych nieszczęść brzemię,
Krwawe widmo ojczyzny wywołując z trumny,
Jeśli to twoją winą? że pchany rozpaczą
Naród zerwać chciał więzy: to możesz być dumny!
Ci, którzy ucierpieli najwięcej, przebaczą!
I Polska ci przebaczy, kochający synu,
I nie będzie dla ciebie żałować wawrzynu.
Bo święte hasła twoje, to nie hasła chwili,
Co przepadają marnie w ciężkich dniach rozbicia;
Wiara twa nie zawiedzie, miłość nie omyli,
Lecz poprowadzi naród do nowego życia.
Mylą się pokolenia w dróg swoich wyborze,
Jednak cel postawiony mylnym być nie może.

Gdyby nie głos natchniony narodowej lutni,
Który nie dał zmęczonym usypiać w letargu,
Czemżebyśmy dziś byli my nędzarze smutni?
Gromadą niewolników na publicznym targu,
Narodem bez przyszłości, bez celu, bez cześci,
Którym pan jego gardzi, chociaż czasem pieści.

Wprawdzie by nas żywiła szczodrzej polska gleba,
A plon nasz by nie poszedł na pastwę płomieni;
Wprawdzie byłoby lepiej tym zjadaczom chleba,
Którzy się tuczyć pragną z losem pogodzeni;
Lecz nad przyszłością naszą noc by zaszła głucha
I naród cały został bez serca i ducha...

Że tak nie jest, to twoja, o poeto, wina,
Więc potomność już wyrok ogłaszać poczyna,
I laur, który od dawna tobie się należy,
Pośród nowych pokoleń bierzesz z rąk młodzieży.

UPOMNIENIE.

Nie potrącajcie nieudolną ręką
Tej struny, która niegdyś w mistrzów dłoni
Brzmiała Ojczyzny miłością i męką;
Nie przedrzeźniajcie pieśni, którą oni
Na skrzydłach swoich wznieśli w toń błękitną,
By Polsce jasną świeciła jutrzenką;
Nie dotykajcie tych snów pełnych woni,
Co ponad światem nieśmiertelne kwitną,
Bo wasza skarga bezsilna, żebracza,
Dawnej narodu wielkości uwłacza.

Niechaj spoczywa lepiej nieruchomie
Ten bohaterski dźwięk ojczystej lutni,
Niżby miał maleć wraz z ludźmi w pogromie,
I zejść do próżnych lamentów lub kłótni;
Niech lepiej w przeszłej swej potędze drzemie,
Gdy mu nie pora błysnąć na wyłomie,
Niżbyśmy mieli dziś nędzarze smutni
W niesfornym zgiełku ściągnąć go na ziemię,
I święte naszej Ojczyzny nazwisko
Wydać na wzgardę, lub na pośmiewisko.

Prawdziwa miłość w głębi tajemniczej
Ukrywa przedmiot czci swej i kochania,
I wielka boleść ma swój wstyd dziewiczy,
Który ją całą milczeniem osłania;
Ona nie żebrze o litość dla siebie,
Ani na ludzkie pociechy nie liczy,
Lecz tylko w męstwo zbroi się wytrwania...
A gdy wybuchnie głosem, to po niebie
Pieśń jej przeleci dumna, nieskalana,
Jak krzyk rwącego łańcuchy Tytana.

Taki krzyk tylko, co wstrząsa wśród nocy
Uśpione ludów sumienia, przystoi
Naszej męczarni, nie zaś płacz sierocy,
Nie jęk żałosny, którym wróg się poi.
Więc dziś odarci z swego majestatu,
I pozbawieni tej natchnionej mocy,
Co stąpać może w pieśni, jakby w zbroi,
Nie dajmy z łez swych widowiska światu!
Niech serce, milcząc, wzgardę przeciwstawia
Wszystkim sprzedajnym czcicielom bezprawia.

Czekajmy! walka jeszcze nieskończona...
Nie tryumfuje przemoc, choć zwycięża,
Bo zbrodnia karmi potomstwo u łona,
Co przeciw matce dobędzie oręża.
Próżno szalona pycha podkopuje
Boski porządek świata, pogwałcona

Moralność mści się... a ma żądło węża...
Kto na nią rękę podniósł, spiorunuje,
Spychając całe ludy i królestwa
W otchłań upadku, nędzy i nicestwa.

W ALBUMIE DLA ZAGRZEBIA.

Niegdyś, niegdyś z pod Wawelu
Młódź rycerska biegła w zbroi,
Do jasnego biegła celu,
Nadstawiając piersi swojej.

Przy zakonie stojąc twardo,
I przy prawie swem człowieczem,
Z męską śmierci szła pogardą
Chrześcijaństwa bronić mieczem;

I w orężnej świata dobie,
W której wszystko krwią się płaci
Wywalczała chwałę sobie,
A ochronę słabszej braci.

Ten rycerskiej dzień wysługi
Już się skończył, już obrońce
Na spoczynek poszli długi,
I nad niemi zaszło słońce.

Przeszłość cała, jasna żywa,
Zatonęła w nocną ciszę,
Lecz w podziemiach, gdzie spoczywa
Młode dziecię znów kołysze.

I choć jeszcze chmurno, mroczno,
Już się sercem budzą młodzi,
Czuć już jasność niewidoczną,
Czuć, że nowy dzień nadchodzi.

Dzień nadchodzi, w którym ludy
Rozdzielone krwią przelaną,
Nienawiścią zbrojne wprzódy,
Do bratniego koła staną.

I na gruzach krwawej pychy,
I plemiennych walk szaleństwa,
Wzniosą w niebo ołtarz cichy
Zwycięskiego człowieczeństwa.

W tym dniu nową zbroję włożym,
I na serca walczyć będziem,
I miłości duchem bożym
Świat ogarniem i zdobędziem.

Dziś już z pierwszym świtu brzaskiem
Wyciągamy do was ręce,
Słowem, pieśnią i obrazkiem,
Składać dary pacholęce.

Wyczekując końca nocy
Do jasnego dążym celu,
I niesiemy dar sierocy
Pacholęta z pod Wawelu.

J. KOLLAROWI

WIESZCZOWI ODRODZENIA CZECH

Gdy lud Wasz wielką rocznicę dziś święci,
Ja, polski pieśniarz, idę do Was w gości
Oddać hołd Wieszcza Waszego pamięci
I w cichem święcie słowiańskiej jedności
Wraz z wami sercem udział wziąć pospołu
Przy uczcie duchów, u wspólnego stołu.

Przed bohaterem, który w bój bezkrwawy
Prowadził naród, budząc go do życia,
I z tej uśpionej, pięknej Córki Sławy,
Zbutwiałe grobu otrząsał spowicia,
Z pokorą swoje uginam kolano,
Wpatrzony w zorzę geniuszu świetlaną.

Przed wodzem, który wówczas stał na straży,
Gdy mrok niewoli ćmił wzrok ludu wszędzie,
I białogórskich podjął pieśń cmentarzy,
I kształcił śpiewne języka narzędzie,
Przed ojcem pieśni wiodącej do czynu,
W imieniu Polski składam liść wawrzynu.

Bliższym jest bowiem dla polskiego serca
Ten, który skupia, niż ten co rozprzęga,
Droższym, kto wskrzesza, niż ten, co uśmierca,
I żadna władców światowych potęga,
I żadna chwała równać się nie może
Z tą, co ludowi nową niesie zorzę.

Cześć śpiewakowi, który w śnie proroczym
Czuł, że z letargu cały naród wskrzesi!
Cześć hetmanowi, w którego ślad kroczym
Ku odrodzeniu z Wami, bracia Czesi!
Przez trud pokoleń i duchów torturę,
By oswobodzić piękną Sławy Córę.

O Córko Sławy! zostań wierną sławie,
Tej nieskalanej łzami i krwią cudzą:
Niech cię rządzące zwycięsko bezprawie,
Ani wszechwładztwa pokusy nie łudzą.
Szukaj natchnienia i sił w samej sobie,
I w tej przeszłości, która żyje w grobie!

Idź raczej z tymi, co cierpią i walczą,
Nie chcąc zatracić samobójczo ducha,
I stać się tłuszczą helotów służalczą,
Nad którą dziejów noc zapadnie głucha:
Niż z tym olbrzymem, co krocząc zuchwały
Wszystkie ludzkości depcze ideały.

Przyjdzie czas, w którym wypełnią się jeszcze
Tylko w zmienionej przez dzieje postaci.
Waszego piewcy te natchnienia wieszcze
O świętej zgodzie wśród słowiańskiej braci.
Skryte marzenia czas urzeczywistni:
W objęcia sobie padną nienawistni!

Gdy prąd duchowy, co kajdany łamie,
Wszystkich podniesie i usamowolni,
Wtedy staniemy do ramienia ramię,
Równi z równymi i z wolnymi wolni!
I Słowiańszczyznna cała, silna, młoda,
Przy bratniej uczcie ręce sobie poda.

W DZIEŃ ZŁOŻENIA ZWŁOK MICKIEWICZA NA WAWELU.

Gdy na ziemię padł sztandar zdeptany,
Znak królewski z orłem i pogonią,
Gdy go wodze i dumne hetmany
Już przed wrogów zniewagą nie bronią,
Gdy go w strzępki stargała niewola
I pokryła noc milczenia głucha...
On go pierwszy uniósł z walki pola,
I zamienił w jasny sztandar ducha,
I nad Polską rozwinął w błękicie,
Dając w pieśni nieśmiertelne życie.

HISTORYCZNA NOWA SZKOŁA.

Historyczna nowa szkoła
Swą metodę badań ścisłą,
Sprowadzoną hurtem z Niemiec,
Rozpowszechnia ponad Wisłą,
I nabywszy pogląd świeży,
Nowym łokciem dzieje mierzy.

Nie chcąc popaść w dawne błędy
Mesyanicznych, mglistych mrzonek,
Koło polskich sztywnych karków
Okręciła swój postronek,
By zgiąć bytu żądzę dziką
Przed dziejowych praw logiką.

Czcząc spełnionych faktów kolej
I zwycięzców chytre godła,
Nie spostrzegła, że cześć siły
Za daleko ją zawiodła,
I że z rąk jej rozbiór Polski
Wziął chrzest misyi apostolskiej.

W pełnem świetle jej dochodzeń
Jasną gwiazdą lśni despotyzm,
I wychodzi czysto na wierzch
Targowicy patryotyzm...
Gdyż Kościuszko to był waryat,
Co budował proletaryat!

I tak dalej... i tak dalej...
Coraz śmielsze wnioski przędzie,
I nicując dawne sądy
Nie powstrzyma się w zapędzie,
Aż dowiedzie, że król Herod,
Dobroczyńcą był dla sierot.

SPIS TREŚCI T. III.

I. SONETY.

	Str.
Sonety. I.—VI.	7
Stokrótki. I.—II.	13
Niezręczny. I.—II.	15
Dwie fazy. I.—II.	17
Herakles. I.—III.	19
Morskie oko. I.—V.	22
Ze sceny świata. I.—XII.	27
W oczekiwaniu jutra. I.—III.	39
Nad głębiami. I.—XXXIII.	42
Przyjście Mesyasza. I.—IV.	75

II. WIERSZE RÓŻNE.

Orfeusz i bachantki	81
Pigmalion	86
Wobec Sfinksa	90
Wiecznie to samo	95
Wy się skarżycie	96
Juliuszowi Mien	98
W noc czerwcową	100
Krąg przemian	102
Samotne widmo	104
Ta łza	107
Przychodzisz do mnie	108
W obiegu	109
Głos wołający na puszczy	112

Str.
Świat się ogniami zapala 113
Młodości sen 115
Zmierzch melodyi 116
Choć pól i łąk... 118
Wieczyste piękno 120
Memnon 122
Nad przepaścią 124
Przodownikom 127
Fresk pompejański 129
W walce o byt 131
Fale 133
Fantazya ludów 135
Dzień wczorajszy 136
Nie bajka 139
Sztuczne kwiaty 140
Żaby 142
Wielkiemu człowiekowi 143
Umysł mędrca 144
Przyczynowość 145

III. Z TEKI POŚMIERTNEJ.

Trzy pierwiosnki poetyckie:
I. Z powinszowaniem imienin 149
II. 150
III. Cieniom Malczewskiego 152
Oświadczyny 153
Dwa sonety. I.—II. 158
Z tragedyi „Prometeusz" 160
Adamowi Plugowi 166
Przed jutrem 167
Szkic do współczesnego obrazu 170
Sprzeczne prądy 174
Z obcych stron
I. Pointe de Raz 178
II. Taormina 182

Str.
III. Noc na morzu 185
IV. Pustynia 187
V. Zamarła oaza 189
VI. Na polach Kartagi 191
VII. Haszumat 195
VIII. Trimurti 197
Opowieść ducha 199
W loży 206
Sonet 211
Złoty cielec 213
Bolesławowi Prusowi 223
Myśli ulotne. I.—XVIII. 225

IV. LIRYKA PATRYOTYCZNA I SPOŁECZNA.

Pierwiosnki 245
Gałązka jaśminu 248
Podróżni 251
W zatoce Baja 253
Pijąc Falerno 257
Apostrofa 261
Odpowiedź 264
Na Nowy rok 268
Pamięci Józefa P... 272
Prośba 274
Toast w Poznaniu 277
Piosnka pijaka 279
Bezimiennemu 282
J. I. Kraszewskiemu 285
Miejmy nadzieję! 287
W 25 rocznicę powstania 289
Prolog na otwarcie nowego Teatru w Krakowie 301
Bez odpowiedzi 304
Wśród przełomu 307
Do Sokołów 314
Szczęśliwe ludy 316

Str.
Wcielenie 318
Pobudka 320
Zapomnij o tem! 323
Na obchód Słowackiego 324
Upomnienie 326
W albumie dla Zagrzebia 329
J. Kollarowi 332
W dzień złożenia zwłok Mickiewicza na Wawelu . . . 335
Historyczna nowa szkoła 336

PG Asnyk, Adam
7158 Pisma
A9
1916
t.3

PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY